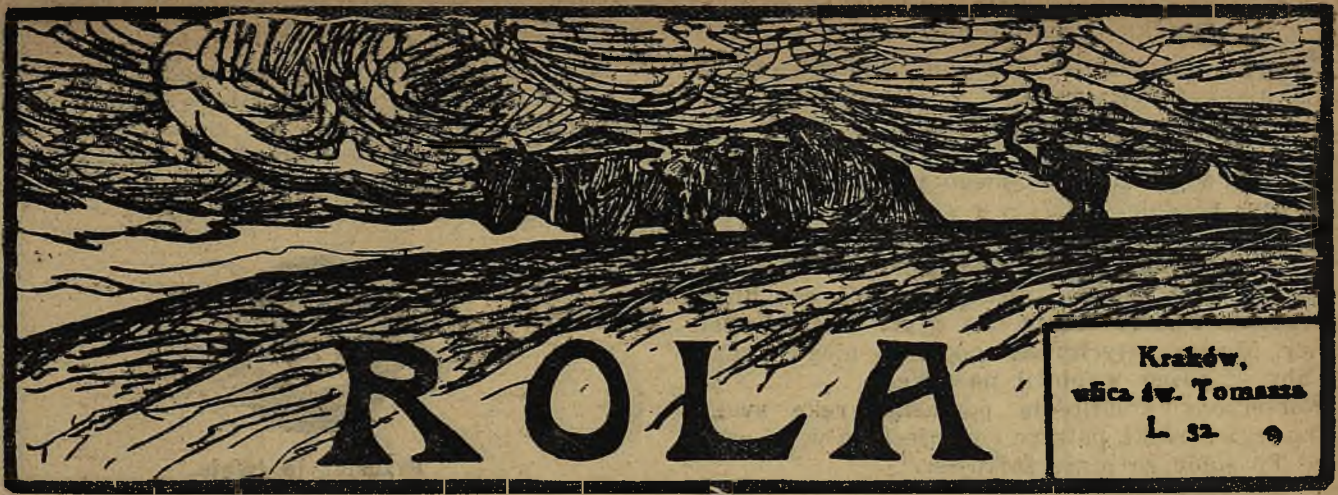
**Numer 15.** Należ. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 12 Kwietnia 1931**




ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

### Rzadka „bezinteresowność".

Jeden z dzienników opowiada następującą zabawną historję małżeńską.

Wychodziła zamąż córka bogatego kupca. Na godzinę przed ślubem wzięła narzeczonego pod ramię i zaprowadziła do osobnego pokoju, aby pogadać z nim poufnie.

— Chcę ci się zwierzyć z pewnej byłej poważnej sprawy — mówiła z zatroskaną miną. — Nie chciałabym abyś się zawiódł, ale ojciec mój jest bliski bankructwa. Podsłuchałam, że grozi mu sekwestr sądowy. Musisz natychmiast pójść do niego i zażądać, aby ci posag wypłacił na rękę.

Narzeczony z miłością pogłaskał rękę swojej ukochanej i odrzekł, patrząc z uśmiechem w jej oczy:

— Ty sobie ze mnie żartujesz.

— Nie robię nigdy kiepskich żartów — odparła panna młoda.

— Ty chcesz wystawiać na próbę moją miłość — ciągnął dalej pan młody — chcesz wiedzieć, czy cię kocham tylko dla pieniędzy.

Narzeczona spojrzała na niego z wyrzutem.

— Jak możesz w ten sposób tłomaczyć sobie moje słowa?

— Nie! Moja droga — zakończył rozmowę stanowczo pan młody — ja tego zrobić nie mogę. Na każdy sposób w duszy twojej pozostałby osad i jużbyś nie wierzyła mojej bezinteresowności.

Panienka z zachwytem ucałowała narzeczonego, a potem pobiegła do ojca. Zarzuciła mu ręce na szyję i z rozpromienioną twarzą zawołała:

— Tatusiu, on mnie tak kocha, że nie zażąda nawet od ciebie posagu.

Ojciec odsunął od siebie córkę na długość ramion i patrząc na nią ze zdziwieniem, zapytał, cedząc zgłoskę po zgłosce:

— Nie zażąda odemnie twojego posagu?... Ależ ja mu go już przed dwiema godzinami wypłaciłem!

### Dziedziczność.

— Nic dziwnego, że to dziecko ma wodę w głowie! Przecież ojciec był abstynentem.

### Transakcja.

Przychodzi do Moszka zatroskany kmieć.

— Moszu, mam do was żal, że tylko gębę wal, sprzedaliście mi konia, co nie chce nic żreć.

— Ależ Marcinie — odpowiada Moszko — o co robicie takie hałasy? Nu, czy rozumiecie, że taki koń jest najlepszy na te ciężkie czasy?



### Przecież to twoje.

— Mężusiu, mężusiu! Wstawaj i kołysz dziecko!

— Daj spokój, kołysz sama!

— Ależ bój się Boga, ja już dwie godziny kołyszę. Przecież dziecko należy do ciebie a połowę do mnie.

— To kołysz swoją połowę, a moja niech się drze.



### Wolna wola człowieka.

Mąż, który w jakimś wyczytał autorze,  
Iż człowiek wszystko, co chce, zrobić może,  
Gdyż wolną wolą został obdarzony,  
Rzekł: kto to pisał nie musiał mieć żony.



### Niepewny środek.

— Wie kuma, jak doktór dziś wyszedł od męża, potrząsał głową!

— Kiej mój był chory, to doktór też ciągle potrząsał głową, ale to nic nie pomogło.

Numer 15. Rok XIV. Kraków, dnia 12 kwietnia 1931.

# ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Prenumerata** na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.

Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

**Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301**

Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

## Powiedzmy sobie prawdę w oczy.

Każdy naród ma swoje załety i wady, podobnie jak i każdy człowiek. Zalety stara się każde społeczeństwo rozwijać. Nieco gorzej jest z wadami. Aby się ich wyzbyć, trzeba je najpierw poznać, następnie odważnie i bez ogródek nazwać po imieniu, a wkońcu powoli, systematycznie starać się je usunąć. Przedewszystkiem jednak trzeba się zdobyć na odwagę mówienia sobie prawdy w oczy. Jest to gorzkie lekarstwo, ale dopóki go nie zaczniemy używać, dotąd ani nie wyzbędziemy się wad, ani nie staniemy się narodem cywilizowanym.

Blisko stopięćdziesięcioletni okres niewoli pozostawił głębokie rysy i szczerby i wiele, wiele lat minie nim czas, współżycie i współpraca je wygładzą i zatrą. Ileż to razy słyszymy jak Małopolanin chwali „rządy cesarza", Wielkopolanin „porządki pruskie", a Kongresowiak „dobrobyt pod Moskalem". Wszyscy zaś razem obwiniają Polskę, jakby ta Polska była niewyczerpanym spichlerzem, który powinien wszystkim dawać, dawać i dawać. Ja wiem, że brać to przyjemnie i każdy z nas chętniejby wziął, niż dał. Ale trzeba się zastanowić: co i od kogo wziąć można.

Ciekawe czyby się znalazł ktoś, ktoby poszedł do żebraka z prośbą o kawałek chleba? Może. Ale chyba tylko ten, ktoby nie miał ani wstydu, ani ambicji. A ta Polska, to przecież żebrak, którego ograbiono, ogołocono z wszelakiego dobra, a gruzy i zgliszcza oddano nam wspaniałomyślnie: macie i budujcie! Każdy zaś obywatel naturalnie zdrów i nie kaleka ma dziesięć palców, któremi tak, czy owak musi i może na chleb zapracować. Jest więc w stosunku do tej nieszczęsnej, a ukochanej Polski, bogaczem.

Mówimy o nędzy, o bezrobociu, o kryzysie, a przecież tego nie stworzyła ani Polska, ani żadne inne państwo. Przecież kryzys i bezrobocie przechodzi nietylko Polska, nietylko wszystkie państwa Europy, ale i ta bogata Ameryka, która podczas wojny światowej miljardy nagromadziła, gdyż ogarniętej szaleńczą pożogą Europie sprzedawała za ciężkie dolary nietylko żywność, broń, amunicję, ale i to wszystko, czego znękane wojną państwa wytworzyć u siebie nie mogły. Gdy więc w tem państwie miljarderów, które nawet dla obcych miało dostatni kawałek chleba, jest dziś ośm miljonów bezrobotnych, cóż można mówić o Polsce, powstałej na gruzach i zgliszczach?

Więc jeżeli u nas są bezrobotni, jeżeli u nas są ludzie, cierpiący nędzę, to boleć nad tem trzeba, ale równocześnie nie wolno nam zapominać, że i w innych krajach nie lepiej. I dlatego właśnie nie wolno nam na własną Ojczyznę utyskiwać i jej złorzeczyć, ale musimy wziąć się do pracy, aby corychlej to zło usunąć.

Czas, abyśmy od innych pracowitych, trzeźwych i uczciwych narodów przykład wzięli. Czas zakasać rękawy i szczerze stanąć do pracy. Nie politykować, nie biadać, nie gnuśnieć, nie rozmazywać się i drzeć szaty nad „nieporządkami i złodziejstwem", bo i ci co rządzą i ci co sądzą, to też bracia Polacy. Sami sobie wychowujemy społeczeństwo! Niech rodzice postępują poczciwie, to i dzieci poczciwie wychowają. A trafi się czasem owca parszywa, to w rozumnem i zdrowem społeczeństwie każdy się od niej odsunie, bo każdy będzie wiedział do czego dąży i czego chce.

*Marja Waller.*

# Cecora.

Powieść historyczna.

Zaczęto mówić o wojnach na granic dwóch krańcach, o ciężkich opałach, w jakich Rzeczpospolita znajdowała się, o ranie Koniecpolskiego, która mu nie pozwalała ni kordem zamachnąć, ni kopją się złożyć. Na wspomnienie o tych wyprawach, twarz starego komendanta rozjaśniła się, jakby na nią padł odbrzask słońca dalekiego, pokręcał siwego ,wąsa, stukał obcasem o posadzkę i od czasu do czasu pokrzykiwał:

— Tłukło się, tłukło, mości panie! Szwed nie Szwed obracał się zadem ku nam i własne pedały o drogę pytał. Nie zmoże nic Rzeczypospolitej naszej, takie już postanowienie na początku świata w niebiesiech zapadło. Teraz Turek naszej polskiej kaszy spróbować chce, ale oparzy się, jak miły mi Bóg, że się oparzy!...

— Trudniejsza jednak z nim sprawa, niż ze Szwedem albo z kim bądź — wtrącił pan Symforjan. — Nie widziałem wprawdzie na żywe oczy tego poganina, bom czasu wojen zawsze niewiasty strzegł i dlategom może żadnej dla siebie nie wynalazł, ale słyszałem, że lepiej ze smokiem niż z Turkiem się spotkać; szczególnie straszny ma być, gdy łeb mu zetną, bo wtedy wali na oślep, nic do stracenia nie mając.

Koniecpolski parsknął śmiechem.

— Kto waćpanu rzeczy takie nagadał?

— Bekas poświadczy, jako bywały człek... Mówią, że Turczyn najstraszniejszy jest wtedy, gdy głowy na karku nie czuje, tak mu o ten fundament chodzi. A że mu bez niej ciemno okrutnie, swój nie swój — wali! Wybiera jednak co najzacniejszych kawalerów, do rotmistrzów zaś ma szczególną inklinację. Najlepiej w wątrobę godzić, bo do słodyczy przywykły, gorzkości żółci nie znosi i zaraz paskudnie pluje.

Koniecpolski śmiał się serdecznie, a Bekas na to:

— Jak to widno zaraz, iż waćpan z białogłowami przebywał, a spraw rycerskich nie imał się wcale.

— Przecz waść mi sam o tem opowiadał, jakże to? — burknął Jasinowski.

— Ale z opowiadania waćpana wyszło: ni ryba, ni rak.

— Waćpan zupełnie tak mówisz, jak Supronicz, brat mój nieboszczyk: ni ryba, ni rak! — odezwała się panna Małgorzata.

— Jasinowski słyszał, że dzwonią, ale nie wiedział w jakim kościele — dodał Bekas.

— Waćpan zupełnie tak mó...

— Przecie to waćpan dzwoniłeś — zawołał pan Symforjan — z waćpanem przecie taki *casus* był, gdyś raz ostatni z jaśnie wielmożnym hetmanem w Dzikie Pola się zapuścił. Jakże to?

— Inaczej, całkiem inaczej! — rzekł Bekas. — Potwierdzam, że gdy Turczynowi łeb zetną wtedy straszniejszy jest, niżby go miał na karku. Ależ zważ waćpan, że gdy mu głowa z szyi zleci, wtedy tyle krwi z kadłuba wypluje, że żadnego wigoru już nie ma i ręce omdleć muszą. To też poganin radzi sobie i czyni to, czego nie zrobi żaden człek chrztem świętym naznaczony. Potwierdzam, że najlepiej po wątrobie go pomacać, bo gorzkości żółci nie znosi, ale, gdy i łeb mu na dwoje przetniesz — żyw nie będzie... *Probatum est!* Co zaś do mojej praktyki, to było tak: Nie z jaśnie wielmożnym hetmanem, jeno ze Stefanem Chmieleckim w Dzikie Pola ruszyłem. Cięliśmy Tatarów na sieczkę, aż oto wali na mnie szczery Turek; poznałem go zaraz, bo Tatar na ukos patrzy, a ten prosto w ślepie niby smok jaki. Chmielecki chciał się z nim zmierzyć, ale go taka ćma Tatarstwa opadła, że rad nie rad mnie musiał onego Turczyna ostawić. Rzuciliśmy się na siebie nieprzymierzając jako wilki dwa. Ni ja jego, ni on mnie wziąć nie mógł, aż mojemu Turkowi znudziła się krotochwila taka, w strzemionach się wsparł, podniósł szablicę ku górze, chcąc jednym strasznym zamachem rzecz skończyć, alem to wnet zoczył i nim „kęsim" swoje powiedział, jak przeprowadzę mu szablę przez szyję, aż głowa wnet na kulbace mu siadła. Lecz zorjentował się pohaniec szybko, a widząc łeb swój przed sobą, za czub go lewicą schwycił, na kark napowrót posadził i przydusił, co uczynił dla zatamowania krwi upłynięcia i bez opamiętania runął na mnie. W ten sposób trzech jeszcze naszych położył, ale mnie nie zmógł, walczył dopóki mu ślepia nie zbielały, lecz do chwili ostatniej trzymał odrąbaną głowę na karku i „kęsim" wrzeszczał. Ot jak było!

— Przepomniałem o tem — mruknął Jasinowski.

— A to całkiem rzecz inna, bo trzymając tak łeb swój, mógł widzieć i wściekać się.

Śmiano się serdecznie z opowiadania imć pana Bekasa, a Jerzy wsparłszy łokieć o kolano, a brodę o dłoń, przysłuchiwał się onym sprawom rycerskim z napół zapartym oddechem w piersi, z oczyma świecącemi, jako gwiazdy dwie. Żywe rumieńce na twarz mu wybiegły, a czoło co chwila się marszczyło. Nie zważał na nieprawdopodobieństwo opowiadań komendanta, wiedział jeno, że walczono i walczą, że pierś o pierś, miecze o miecze się gdzieś ocierają. Dlaczego on tylko w sprawie ojczystej nie może życia swojego położyć? dlaczego pas rycerski nie może jego opasać bioder? dlaczego śmierć ma go spotkać w chacie chłopskiej nie na polu bitwy, przy grzmocie surm i szabel szczęku? Jakie znamię hańby i poniżenia na czole jego wyryte zostało, że szabli jąć mu wzbroniono i stanąć w kole rycerskiem? Czy on się ulęknie wystających policzków Tatara, ucieczką splami honor rycerski, powierzonego sobie znamienia jak pies strzec nie będzie? Jakie zakażenie w nim jest, że go odtrącają od tej uczty chwały? Czy krzykiem, jak każdy inny, choćby królewski syn — nie powitał tej ziemi? czy on i jemu podobni nie roszą jej potem swojego czoła? czy mniej kocha, czuje i cierpi, że mu ani miłości, ani cierpienia okazać nie wolno? Przybłęda jest, czy ziemi tej syn? A jednak każdy mówi do niego: ty — idź — weź! Dobrze mu jest wprawdzie na dworze hetmańskim, przygarnięto go, krzywd nie czynią — ale on ból czuje z powodu innych krzywd, a ból ten jest małą cząstką jednej wielkiej boleści, przesuwa się jak cień pod okapem każdej strzechy wieśniaczej, od kołowrota do kołowrota idzie, siada na progu chat kmiecych, dostrzeżesz go w każdej skibie przez pług odwróconej ziemi, w każdym pobrzęku sierpa, czy kosy.

Tak myślał Jerzyk i przebiegł myślą dzieciństwo swoje spędzone pod Rzeszowem nad Świńczą. Chłopską wtedy na sobie sukmanę miał i pasał koniska jakieś na błoniach. Nie sam był, otaczała go gromadka, jak on, dzieci kmiecych.

Raz, pamięta dobrze, bo mu to w zakątku mózgu utkwiło, jak sen jaki z bajki czarodziejskiej, gdy

pasąc konie z towarzyszami swoimi, posłyszał szczęki i tętent kopyt i szmer jakiś chorągiewny. Szło wojsko — z pieśnią w ustach na bój daleki szło. Nie było olszyny przydrożnej, wierzby suchej, pagórka ni płota, któreby nie zaśnieżyły się sukmanami chłopskiemi. Oczy wzbierał ten pochód marsowy, aż serce rosło i skakało, aż coś rozsadzało pierś.

— Wojaki idą! — rzekł jeden z nich, a on, Jerzyk, zawołał:

— Pójdę z nimi, ino podrosnę!

A najstarszy parobczak:

— Czyś ty ślachcic?...

I to mu utkwiło w pamięci.

On nie mógł wziąć tej zbroi, szabli dotknąć, błonia tego, tej Świńczy swojej bronić.

Szlachcicem nie był!...

Później oddano go na nauki, na prośbę matki do dworu wzięto i dano miękki, jedwabny strój. Pięknie mu w nim — wie o tem! A jego rówiennicy, towarzysze z onych błoni nad Świńczą?... Gzła czarne, czoła spocone mają, bez praw do tej ziemi, w którą wrośli na życie całe!... I palić go zaczęła ta szata jedwabna, aż zerwał się, za brzeg jej targając...

— A! — z ust mu wypadło.

Obecni zwrócili się ku niemu.

— Co ci, Jerzyk? spytała hetmanowa.

Młodzianek w płomieniach stanął, odpowiedzieć nie umiał. Halszka wyjrzała z za pleców pani Reginy i oczy na Jerzyka zwróciła. Koniecpolski spojrzał i rzekł:

— Ładne chłopię!...

— A cham! — rzucił Bekas w ucho Koniecpolskiemu.

— Dlaczegoś krzyknął tak? — pytała hetmanowa dalej.

— Stanął mu przed oczyma Turek, łeb swój trzymający i przelękła się dusza chamska — zaśmiał się Bekas.

— Nie mówcie tak, panie komendancie — odezwał się Jerzyk. Dajcie mi szablę i Tatara, a dźgnę go od was niezgorzej.

Bekas zwrócił się do mówiącego:

— A na klepisko z cepem, nie łaska? Patrzcie mi jaki szlachcic! Gdzieś to się sztuki wojennej uczył, że dźgniesz Tatara jako ja?

— Nie uczyłem się, panie komendancie, ale... siłę mam.

— W gębie!

— Komendancie!... — tonem uwagi rzuciła hetmanowa.

— Pójdź tu, waszeć! — rezkł Koniecpolski.

Jerzyk się zbliżył.

Pan Stefan dotknął ud, ramion, bark, pokręcił głową i rzekł:

— Mur!

— Flak!... — rzucił Bekas.

Jerzyk drżał, a palce mimowoli w pięść mu się zwijały.

Komendant widocznie był oburzony słowami Jeale, gdy i łeb mu na dwoje przetniesz — żyw nie będtara; sapał, brwi jeżył, wąsy storczył i zwracając się do pani Reginy, tak rzekł:

— Nie mnie przyganiać w czem bądź jaśnie wielmożnemu hetmanowi, którego chleb jem i do zdechu go nie odstąpię; nie mnie sprzeciwiać się w czem bądź jaśnie wielmożnej hetmanowej, która, gdy mówię: „Salve Regina“ przed oczami mi stawa — ale ta konfidencja z parobkiem onym nie w smak mi idzie.

— Może wasza miłość do mnie nie mówić — szepnął Jerzyk.

Bekas miał wielką ochotę za uszy go wytargać, ale pokorna postawa młodzieńca i łzy dostrzeżone w jego oczach pohamowały gniew jego, zresztą i krępowała go hetmanowej obecność.

— Smarkacz! — mruknął tylko półgębkiem, a Żółkiewska chcąc oszczędzić przykrości Jerzykowi, zwróciła się ku niemu i dając znak głową, rzekła:

— Wyjdź, Jerzyk!...

Jerzyk się skłonił i opuścił komnatę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Przeklęty.

Dzień miał się ku schyłkowi. Czarne chmury, które od tygodnia zasłaniały błękit nieba, poczęły się powoli przerzedzać, a tylko wicher złowrogi jeszcze świstał i hulał, po pustem polu miotając białym śniegiem. Ziąb straszliwy dokuczał, a choć czasami wiatr milkł i ginął w tych głuchych przestrzeniach, to jednak mało co to znaczyło przy siarczystym mrozie, jaki się z każdą chwilą wzmagał. Nadchodziła noc mroźna... głucha... ponura...

W ten zimowy mroźny dzień, naprzełaj przez pola, szedł z dalekiego miasteczka do rodzinnej wioski, Antek Pijawka. Zapadał po kolana w puszysty śnieg, którego całe stosy napadało przeszłej nocy. Wiatr ciął go niemiłosiernie po twarzy, ale on mało na to zważał, i choć strudzony, postępował naprzód. I szedł bezmyślny sam jeden na tem pustkowiu tak jakoś strasznem... złowrogiem...

Daleko gdzieś na widnokręgu ukazał się szary, wąski skrawek. Antek przystanął, popatrzył, jakby trochę zadziwiony, i przetarł ręką oczy.

Czyżby to był las?

Zatętniało w nim żywiej serce. Tam, po przeciwnej stronie lasu, który był zaledwie na kilkadziesiąt kroków szeroki, jest jego chatka, w której spocznie wygodnie po tak uciążliwej podróży.

Już widzi siebie, jak siada na długiej ławie koło komina. Po izbie rozchodzi się miła woń ciepłego powietrza. Koło komina krząta się i warzy gorącą strawę matka...

Zadrżał. Matka?... Czyżby...

Na plecach uczuł jakby kłucie ostrych szpilek. Ogarnęło nim przejmujące zimno. Nogi pod nim nagle zasłabły, zachwiał się i...

I byłby runął na ziemię, gdy w tej samej chwili rozległo się za nim, choć jeszcze gdzieś daleko, przeciągłe wycie. Poznał i odrazu odzyskał przytomność umysłu.

— Wpadły bestje na trop — szepnął, i pędem puścił się w kierunku, gdzie czernił się ów skrawek, który był w tej chwili dla niego jeszcze czemś więcej, aniżeli samo zbawienie.

A zanim już teraz coraz częściej odzywały się przeszywające nawskroś ciało, wycia krwiożerczych bestyj.

Lecz mimo grożącego niebezpieczeństwa od strony zgłodniałych wilków, w głowie jego snuł się jakby cień mary jakiej, której żadnym sposobem odpędzić nie mógł.

Przed oczyma stała mu tak niedawna a jakże okropna przeszłość, i ten tak dziwny wyraz „matka“. Teraz dopiero spostrzegł się, jak powinien był postąpić, ale niestety, było już zapóźno i tylko jeden wyraz mógł w tej chwili wyrzec:

— Wszystko stracone.

Gdyby miał choć część tych pieniędzy, które w tak lekkomyślny sposób roztrwonił, to mógłby się jeszcze jako tako bronić. Lecz teraz widział wyraźnie swoje położenie i wiedział, że już się nie wygrzebie z bagna w jakiem utonął.

Był zgubiony...

Nagle... jakaś myśl zaświtała mu w głowie.

— Może przebaczy... Może... — i jakby nowych nabrał sił, zrobił się jakiś bardziej rzeźki, nawet na sercu mu się zelżyło.

— Upadnę przed nią na kolana, — myślał już z pewnem zadowoleniem w duchu, i będę prosił zmiłowania. Starucha dobra, napewno przebaczy. Zresztą, — począł mędrkować, — stara jest, z łóżka wstać nie może, to się jeszcze ucieszy z mego powrotu, i przebaczy.

Wtem jakiś cień powątpiewania obudził się w nim.

— Czy aby napewno przebaczy? Czy zniesie w milczeniu krzywdę, jaką jej wyrządził? I począł rozpamiętywać wszystko, co tylko przeżył w ostatnich dniach. Pamięta jeszcze doskonale, jakby to dziś było. Zaraz po pogrzebie ojca, co zmarł nagle na udar mózgowy, przyszedł do niego Jankiel, co ma karczmę, i namawiał go, żeby sprzedał całe gospodarstwo, a potem z pieniądzmi uciekł do miasta, gdzie, będąc bogatym, mógłby żyć wedle upodobania.

Dał się namówić i prawie za pół darmo oddał Janklowi cały dobytek. Matka, płacząc, zaklinała go, żeby tego nie robił, ale on mało zwracał na szlochy jej uwagi, wiedziony czczemi marami, jakie mu Jankiel przedstawił.

I poszedł, opuściwszy rodzinne miejsce i matkę bez środków do życia. Poszedł, lecz w mieście, w tym kraju szczęśliwości, zaraz na drugi dzień został okradziony. A potem? Potem nastały dni, które wydawały się być całemi wiekami. Głód dokuczał, aż zmuszony był iść na żebry. Lecz nikt go nie poratował, bo i któżby dawał jałmużnę tak zdrowemu i młodemu człowiekowi, jak Antek. Wkońcu, żeby nie paść straszną śmiercią głodową, wyruszył z powrotem do rodzinnej wioski, którą przedtem tak sromotnie opuścił.

Czy go matka przyjmie? A co powiedzą ludzie?

W odpowiedzi usłyszał zbliżające się wycie wilków. Ocknął się z zadumy, i dopiero teraz spostrzegł, że noc rozpostarła już swe panowanie. Obejrzał się szybko poza siebie. Węsząc za jego śladem, krok w krok podążało kilka krwiożerczych bestyj. Jeszcze nie dojrzały go, ale zbliżają się z każdą chwilą. Jeśli nie dopadnie na czas do rozciągającego się przed nim lasu, to zginie marnie, rozszarpany przez głodnych drapieżców. Popędził więc ku niemu ostatkiem sił.

Minął już pierwsze drzewa. Las szumiał i huczał za każdym podmuchem wiatru, lecz on nie słyszał nic, tylko biegł ciągle, mijając coraz to więcej drzew.

Jeszcze kilkadziesiąt kroków i las się skończy, a wpadnie w wieś, gdzie już wilki napewno nie odważą się gonić. Już słyszy za sobą ich groźne harczenie, coraz bliżej i bliżej. Pot kroplisty spływa mu po czole.

Wtem w nocnym cieniu spostrzega jedną chatkę, potem drugą. Pogoń zostaje w tyle. Antek odetchnął całą piersią. Nogi pod nim plączą się ze znużenia. Nie sposób iść dalej, więc siada na przydrożnym pniu, aby choć chwilę odpocząć.

Nagle stało się coś nadzwyczajnego. Świat począł wirować dookoła coraz prędzej i prędzej, w oczach mu się zamroczyło, i spostrzegł w nocnym cieniu dziwaczną postać ludzką. Szła ku niemu z zaciśniętemi pięściami, jeszcze chwilę, a rzuci się na niego i zabije. Chciał uciekać, lecz nogi mu się poplątały, krzyknął tylko, i padł twarzą w śnieg, bez żadnego czucia...

— — — — — — — — — — — — — — —

Gdy się obudził, na świecie już szarzało, gdzieś kur zapiał. Czuł okropne zimno, i dziwił się, że nie zamarzł do tej pory. Otrząsł się na wspomnienie strasznego widziadła, które go tak przestraszyło przed kilkoma godzinami. Spojrzał w tę stronę i ujrzał kopę siana, oprószoną ze wszystkich stron śniegiem, którą to widocznie wziął za postać ludzką.

Przewlókł się pomału przez wieś i stanął przed chatką, w której miał spocząć. Drżącą ręką zakołatał do drzwi, które po pewnym czasie się otworzyły, a w nich stanęła matka. Na widok Antka cofnęła się przerażona. Chciał wejść, lecz matka zastąpiła mu drogę.

— Precz stąd, niema tu nic dla ciebie!

Zakotłowało mu się w głowie. Zapomniał w jednej chwili, iż miał ją przepraszać. Stał się hardy.

— Puść — syknął w największej złości.

— Precz, nie puszczę, nie chcę cię znać więcej...

Nie mógł wytrzymać dłużej. Chwycił ją silnie za gardło, potrząsnął gwałtownie, i dobywszy wszystkich sił, pchnął ją tak silnie, że rozbiła głowę na kamieniu.

— Bądź przeklęty — wyrzekła, i skonała...

Słowa te, chociaż nie były głośno wypowiedziane, to jednak na Antka spadły, niby grom jaki. Wypadł jak opętany na pola, by być od niej jak najdalej... Śnieg skrzypiał mu pod nogami, gdy pędził prosto przed siebie, a za nim szły, jak zmora, słowa konającej matki, odbijały się tysiącznym echem w pobliskim lesie, i szły gdzieś w dal niezmierzoną...

Nagle stracił grunt pod nogami i runął w przepaść. Coś zatrzeszczało pod nim i poczęła go okrywać zimna topiel. Szarpnął się, lecz było zapóźno. Znalazł się pod lodem.

Napróżno tłukł głową o jego twardą powłokę, napróżno dobywał sił, ażeby uniknąć niechybnej śmierci. Wartki prąd wody podrywał mu nogi. Począł się dusić i pić wodę. Czuł, jak mu krew w żyłach powoli zastygała. Jeszcze chwil kilka i wyzionął ducha w strasznych męczarniach, lecz jeszcze stokroć straszniejszych słowach matki:

„Bądź przeklęty...“

— — — — — — — — — — — — — — —

W dni kilka potem, wąską dróżyną posuwał się żałobny orszak składający się z kilku ludzi, podążając ku cmentarzowi, gdzie wkrótce pomiędzy rzędami mogił dał się słyszeć przygłuszony zgrzyt łopat, a na wieżycy kościółka rozbujał się dzwon, i dzwonił tak jakoś żałośnie długo... długo...

To chowano matkę-ofiarę zwyrodniałego syna, którego później, gdy lody potopniały, wyrzuciły rzeczne fale na brzeg, gdzie dziobały go kruki, zanim się ludzie zmiłowali i usunęli na bezpieczniejsze miejsce.

*Stanisław Zuchara.*

# Królowa Beskidów i rycerz Gewont.

(Legenda).

Królowa Baba, pani Beskidów, była władczynią potężną i silną. Wszyscy jej sąsiedzi drżeli przed potęgą i sławą jej. Ona zaś, cud czarujących wdzięków i piękności, wcielone uosobienie dobra i łagodności, panowała mądrze i sprawiedliwie w podległym jej kraju. Stolica jej państwa była szeroko i daleko sławna bogactwy i skarby niezliczonemi, wewnątrz stolicy wspaniałe świątynie, baszty i wieżyce zamków rżnęły się w obłoki, błyszcząc wspaniałością i przepychem.

W pośrodku stolicy zbudowany na wzgórzu skalistem zamek królewski był niezdobyty, przy nim zaś świątynia pogańska bogini Sobótki. Wnętrze zamku i świątyni lśniło od srebra i złota, wszystkie sprzęty wysadzane były drogiemi kamieniami, mieniącemi się grą kolorów w promieniach słonecznych, wpadających do komnat przez wysokie okna. Wielki most tęczowy przerzucony ponad ogrodem, łączył świątynię z pałacem.

Raz do roku tylko przez most przechodziła królowa, gdy słońce najwyżej wzniosło się na niebie, aby w świątyni złożyć ofiarę za swój lud i za swoje państwo. Szła ona wtedy otoczona nimfami, grającemi cudnie na złocistych harfach, szła piękna, wspaniała, potężna, a złoty djadem jarzył się od gorejących różnemi barwami wysadzanych kamieni drogich i pereł.



Wtedy z całego państwa dążył do bram świątyni lud, złożyć ofiary Sobótce i pokłon królowej. I lud przynosił z sobą wieńce wite z najśliczniejszych kwiatów i rzucał je w ofiarną wodę u stóp Bogini, z wnętrza jej płynącą. Wojownicy zaś na ognistych rumakach skakali przez rozpalone stosy ofiarne, a nadobne dziewice tańczyły wokoło bogini w takt dźwięków złocistych harf cudownych nimf.

Sława jej urody dotarła aż do Giewonta, rycerza dzielnego, ale okrutnego i dzikiego. Miał on liczne zamki potężne, wojsko niezwalczone, bogactwa z rabunków i łupiestw dosyć, ale pragnienie jego było nienasycone, zapragnął korony królewskiej i ślicznej królewny.

Wysłał on tedy do niej posłów, którzy upadłszy na kolana rzekli:

— Oto nasz potężny rycerz Giewont, książę Tatr prosi cię o rękę, dostojna królowo. Gdy mu ją oddasz na rękach cię nosił będzie i ubóstwiał, gdy zaś prośbie jego odmówisz, ziemię twego królestwa ogniem i mieczem zniszczy, a ciebie przemocą zabierze.

Ale wzburzona królowa odrzekła:

— Powiedzcie Giewontowi, że się jego groźby nie lękam i ręki mu nie oddam, bo go znam i wiem, że znęcałby się nad moim ludem, panując mu, ręki mej nie uznaję go godnym, albowiem miłość zdobywa się łagodnością i zaskarbia zasługą, a nie płochą groźbą.

I gdy posłowie wrócili, niosąc odmowę, Giewont, dyszący zemstą, wysłał marszałka Pilsko na podbój Beskidów.

Wyruszył tedy Pilsko z ogromnem wojskiem i rozgromił dzielne zastępy królowej, poczem rozpaliwszy mord i pożogę po ziemi Beskidów, zamek królowej ścisnął oblężeniem.

Długie miesiące napróżno kruszyły olbrzymie tarany mury zamku, napróżno szturmowały tysiące zbrojnego ludu, zamek królowej został niewzruszony. Ale kończyły się zapasy żywności i widmo głodu zajrzało obrońcom wieży w oczy.

Wtedy królowa w odświętnej szacie udała się do świątyni i padłszy na twarz, wołała:

— O bogini ukochana, najdroższa Sobótko, ra-

tuj, ach ratuj pozostałą mi garstkę wiernego ludu od srogiej niewoli, a mnie od piętna hańby! O Sobótko, wszak widziałaś stan mego serca, żem tylko w imię dobra ukochanego ludu odmówiła ręki okrutnemu Giewontowi. Nakryj mię, o bogini ziemią, abym nie musiała patrzyć na swoją hańbę, ukryj mych rycerzy.

Poruszył się martwy głaz bogini, a z ust jej zeszedł szept ledwie dosłyszalny:

— Nie trać nadziei!

Wstrząsła się ziemia, zajęczał wiatr, z czarnych groźnych chmur z oślepiającą błyskawicą pioruny zapalały ziemię w ciągle trwający ogień, który nic nie pożerał, porobiły się przepaście okrutne, z których ogień siarczany buchał, wylewając ognisto-płynną masę; w otwory tych szczelin wpadały zbrojne zastępy Giewonta, ginąc w strasznych mękach. Sam Giewont, jakby cudem ocalał, jemu inne było przeznaczenie!

Zamek królowej obrósł w ziemię, która zamknęła w sobie śpiącą snem wiecznym królowę cudną, ze swemi rycerzami i niezliczonemi skarby. I na miejscu obozu marszałka Giewontowego Pilska powstała góra jego nazwy.

Giewont poprzez wznoszące się w morzu płomieni dymów góry, tworzące się rozpadliny, bagna i trzęsawiska, zniknął jak strzała w swoją krainę tatrzańską. Lecz jakiż widok oczom jego się przedstawił?

Oto gdzie pozostawił w krainie mlekiem i miodem płynącej, potężne swe zamki, ludne miasta, lud bogaty, zasobny, zastał dzikie krzesanice i przepaście, a na równinie ławę błotną i kamieniami zasypanej, wijące się strumyki, buchające parą, gorącą jeszcze. Tu i ówdzie dymił się szczyt ostrej krzesanicy o białym kolorze skały, jeszcze rozpalonej. Gdzie stąpił, wszędzie śmierć i zniszczenie, a stopy paliła mu rozpalona ziemia.

Wyszedł tedy na górę od strony północnej, nad północną równiną, gdzie zakopał swą zbroję i konia, padłego z trudu, wziąwszy miecz tylko w rękę i szyszak, usiadł na skale i wpoiwszy wzrok w stronę, gdzie dawniej błyszczał wspaniały zamek królowej Baby, zdrętwiał ze zgrozy i tak tam kamieniem po wieczne czasy w postaci siedzącego tkwi, wśród poświstu wichru halnego marzy o minionej sławie, wzrokiem zwrócony, gdzie go serce gnało.

A królowa Baba śni o swoim cudnym kraju, przy dźwiękach harf złocistych, na straży drzemią olbrzymie postacie zakutych w stal rycerzy.

A nad tem słonko złociste roztacza promienie, w lazurowem powietrzu ptak się unosi, las szumi, w takt wichru grając hymn przeszłości.

*W. Miesiączek.*

## Zbratani.

Dzień schylał się ku końcowi. Niedługo miała zawitać na ziemię „czarna pani“ — noc, aby zmęczoną po całodziennej pracy ludność ułożyć do snu błogiego. Złoto — ogniste słońce kończyło swą wędrówkę, zbliżało się do olbrzymiego boru, aby za nim ukryć się przed okiem człowieka. Powoli — powoli płynęło po pogodnem, jak lazur, niebie; przez zielone gałęzie wysokich drzew rzuciło ziemi swe ostatnie promienie — resztki światła. Aż wreszcie, podobne do olbrzymiej, czerwonej kuli, zgasło zupełnie za nieprzebytym murem drzew — zda się na wieki — zda się, że już nigdy do nas nie wróci. Zgasło, pozostawiając po sobie złoto — różaną zorzę.

Z starej kościelnej wieży ozwały się dzwony na Anioł Pański. Głos ich mknie daleko po prastarej ziemicy Lecha; — od Karpat do Bałtyku, od Piasowego Śląska po puszczę Giedymina, głosząc wszędzie cześć i chwałę Królowej Polski. Na progu chaty ukląkł wierny lud, wielbiąc Marję swą prostą, lecz piękną mową. Dzwony grały — grały długo „w niebiosach kędyś głos ich skonał“ — umilkły. Umilkły, ale wnet ozwały się po raz drugi; już nie tak wspaniale i uroczyście; — ozwały się smutno, żałośnie, oznajmiając śmierć dwojga ludzi. Bo oto w ubogiej chacie, na nędznym tapczanie siwy starzec skończył swą ziemską wędrówkę, zamknął strudzone powieki, dusza czysta uleciała na skrzydłach anioła w krainę wieczności, a zimne, skostniałe ciało spoczęło na łożu śmierci w nędznej izdebce.

W spaniałym pałacu gore światło. W bogato przybranej sali ułożył się do snu wiecznego, na katafalku, wśród powodzi kwiatów i światła, pan magnat. Rodzina opłakuje jego zgon, kapłani ślą modły do Boga za duszę, która niedawno opuściła ciało.

Na wiejskim cmentarzu, pod starym krzyżem, widnieją zdala dwie świeżo usypane mogiły. Dwa ciała spoczęły obok siebie — dwie dusze spotkały się u Tronu Boga — zbratanych po śmierci.

Spoczął pan obok tego, który za życia był jego poddanym, którego traktował, jak niewolnika, zbratał się z nim po śmierci w łonie wspólnej matki-ziemi.

Śpią spokojnie, śnią o tej, o której wolności marzyli przez całe życie. Widzą swych synów i wnuków zbratanych wspólną niedolą, kajdanami, jakie dźwigała Polska — widzą, biegnących ich razem na pole walki, odbijających wspólnemi siły najazdy wroga. Aż wreszcie, widzą ich zbratanych — podających sobie przyjazne dłonie, już w wolnej ojczyźnie.

Pod starym krzyżem, na wiejskim cmentarzu, leży chłop z panem, zbratani po śmierci. Śpią i marzą o Polsce zmartwychwstałej, potężnej, wielkiej. Widzą swych synów zbratanych, nie dopiero w grobie, ale już za życia. Widzą, jak ci wspólnie pracują dla Ojczyzny — błogosławią ich czynom i zamiarom — proszą Wszechmocnego o spokój i zgodę między nimi, aby nigdy, nic ich od siebie nie odłączyło, aby na wieki byli sobie braćmi, jak dzieci jednej Matki-Polski.

***Fornalikówna Anna.***

**Oczekiwanie Wiosny...**



Tęsknimy za Tobą Wiosno,
Że serce z bólu nam kona...
Chcemy Cię słońcem radosną
Przytulić dzisiaj do łona!...

Śnisz się nam, śnisz się — Wiosenko
We kwietnej tonąca woni...
Pasterską śpiewna piosenką
I strojna kwieciem jabłoni.

Śnisz się nam taka anielska,
Płonąca miłością bez końca...
Krwią ciepłą kipiąca — sielska
I pełna po brzegi słońca.

Że chcemy Ciebie o Wiosno,
Że serce z tęsknoty kona...
...Chcemy Cię słońcem radosną
Przytulić dzisiaj do łona!...

*Jacek Orlik.*

# PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

**Tunis VII.**



Galerja Suk czyli kadzideł.

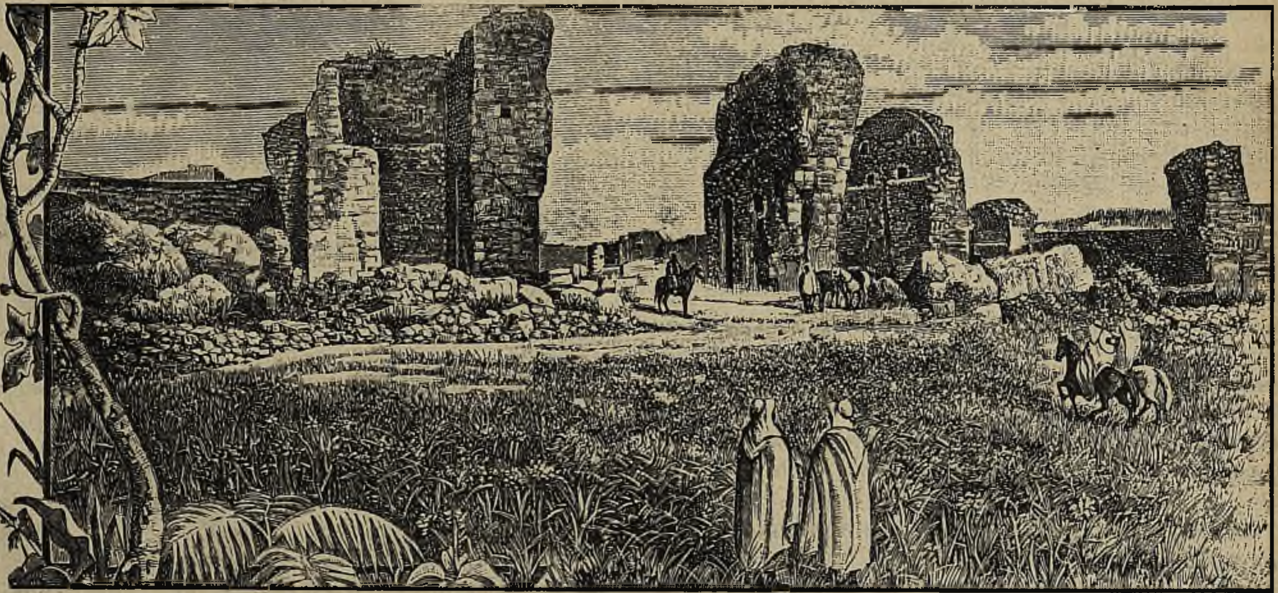
Objechawszy w naszych pogadankach niemal całą Tunetanję, powróćmy jeszcze na chwilę do Kartaginy. Oprócz nowożytnych budowli nie brak tam i ruin, które przypominają dawną świetność owego miasta. Chcąc je jednak zobaczyć, trzeba przebiegać uważnie i wytrwale sporą przestrzeń skalistego gruntu, nie zniechęcając się ani odległością, ani palącemi promieniami słońca, ani nużącym pochodem wpośród stromych stoków. W przeciwnym bowiem razie na pierwszy rzut oka wszystko dla nas straconym zostanie i spostrzeżemy jedynie przylądek z łanami zboża, winnicami oraz mnóstwem uroczych will, odbijających się na tle widnokręgu i okolonych niebieską przepaską przeźroczystej wody. Historyczne zabytki kryją się przed oczyma niedoświadczonego turysty, tembardziej, że pług arabski przewraca ciągle ten grunt, usiany kamieniami, odłamami marmurów i prześlicznemi okazami garncarskiego rzemiosła.

Popatrzmy się na zamieszczone obok dwa nasze obrazki. Na jednym z nich widzimy tak zwaną galerję Suk czyli kadzideł, wspaniałą, nowoczesną budowę, a na drugim ruiny starożytnej świątyni. Tak jeden, jak i drugi widok świadczy, że Tunetanja była i jest krainą bardzo ciekawą dla podróżnika.

Szczególniej ciekawe pod względem architektonicznym są pałace bejów tunetańskich. Charakterystyczną jest rzeczą, że żaden z nich nie zamieszka nigdy w pałacu, w którym umarł jego poprzednik. Po śmierci beja komnaty jego zostają opuszczone, a następca jego przybudowuje sobie dalsze skrzydła do poprzedniej budowy i tam się osiedla. Siedziba nieboszczyka zostaje opuszczona, a najwyżej mieszkają w niej aż do śmierci pozostałe żony zmarłego pod bardzo ciężkim nadzorem dawnych nadzorców, wiernych swojemu panu nawet po śmierci.

Kobiety te pędzą opłakany żywot: żadnej przyjemności, żadnej rozrywki, a jedynie bezdenna samotność i oczekiwanie na upragnioną śmierć. Ściany i sufity dawnego pałacu niepoprawiane zupełnie opadają z tynku, a po nich pełzają jaszczurki, powybijanemi zaś oknami wdziera się wiatr do obszernych i pustych komnat, świszcząc po nich niemiłosiernie.

Pomimo tego spustoszenia rezydencja bejów z mnóstwem przejść i skrytych drzwiczek daje do-



Ruiny starożytnej świątyni.

kładne pojęcie o wewnętrznem urządzeniu muzułmańskiego domu, kryjącego harem w swych ścianach.

Niema większej tragedji na świecie, jak harem muzułmański. Gromada żon bogatego muzułmanina rekrutuje się z najrozmaitszych sfer społeczeństwa, a często i z najrozmaitszych narodów. Dzieje niemal każdej z tych przymusowych małżonek są nadzwyczaj tragiczne. Rzadko zdarza się, aby która z nich dostała się do haremu dobrowolnie. Jedne z nich idą tam z woli rodziców, niepytane, czy chcą, czy nie dzielić całe życie z mężczyzną prawie zawsze sobie nieznanym, często nawet wstrętnym dla nich. Drugie dostają się tam wskutek ukrytego handlu niewolniczego, który niby nic nie ma wspólnego z handlem, a przecież nim jest w rzeczywistości. Jeszcze inne oddawane bywają do haremu za długi, zaciągnięte przez ich ojców. A w jakikolwiek sposób która z nich się tam dostaje, to prawie zawsze wbrew swej woli, a dostaje się po to, aby być przez całe życie sługą i niewolnicą swojego pana.

Zdarza się jednak czasem, że niewiasta taka, nie widząc prawie poza swym małżonkiem innych mężczyzn, zakocha się w nim. Można sobie wyobrazić tragedję tej istoty, która widzi przecież, że nie ona jedna jest przedmiotem pieszczot swego umiłowanego, ale musi je dzielić z kilku, kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu innymi kobietami. Zazdrość niewypowiedziana pożera ją i spacza jej charakter tak, że niejednokrotnie z uległej, dobrej i zacnej kobiety wytwarza istotę upadłą, podobniejszą do ziemskiej szatanicy, aniżeli do kobiety.

Bywają czasem wypadki, że ów wielożeński małżonek upodoba sobie bardziej którąś z swych żon, że darzy ją większymi względami od innych, ale i takiej kobiety los nie jest różowy. I ona drży ciągle, aby tej miłości swego małżonka nie utraciła na rzecz którejkolwiek z swych towarzyszek. Najczęściej więc intryguje przeciw nim, stara się je obrzydzić swemu panu i odsunąć go jak najdalej od nich. Po największej części odnosi to skutek wprost przeciwny; kobieta taka rzuca mimowoli małżonka swego w objęcia innej, tracąc go dla siebie niemal nazawsze.

(Ciąg dalszy nastąpi).



# MACIEK BZDURA GADA:

Na świecie juz jest taki układ, ze co dobre, to trwa niedługo, a co złe, to tego i djabły nie chcą zabrać do swoich celuści. Tak jest i ze świętami. Wiadomo, ze dni świątecne to tam jesce oblecą i jakby bez cały rok były same święta, toby się człekowi chciało zyć na tem świecie. Ale ze są dobre, to trwają ino dwa dni i potem ich nima, a moja gospodyni zyją i zyją i w zaden sposób lucyper na nich się w pieklisku docekać nie moze. A jakby juz o to sło, to i ja wolałbym, zeby Wielganoc była z pięćdziesiąt lat, a mojej gospodyni, zeby juz na drugi dzień po niedzieli nie było.

Człek bez siedm tygodni układał se, jak to będzie na te święta, pukał w palce, cy go ino raz cy więcej będzie bandzioch bolał, przyciągał i popuscał pasa, aby się w tem wielgiem poście brzusysko stało elastycniejse i wszyćko na nic. Święta przesły, a brzuch, jak był, pozostał brzuchem i ani go razu przez święta nie zabolał. A powiadam wam, co za święta, jak po nich brzuch choć parę tygodni nie boli! Przysła Wielganoc, kłapnął człek zębami paredziesiąt razy, oblizał się urocyście i kuniec. Azeby było choć co tak wiele kłapnąć? Jajka i kiełbasę zarekwirowały gospodyni z Kaśką, bo powiadały, ze takie rzecy ino la bab pasują, a la mnie i gospodarza zostawiły chleb, krzan i ociupinkę spyrki, powiadając, ze la takich zarłoków to i to wystarcy. Minęły święta, a potem na zołądek przysły różne smutne myśli, ze jaze się człekowi płakać zachciwało.

Oj, bo powiadam wam, z człekiem, jak z tem jajkiem wielkanocnem. Tak to ładnie upisane, takie pachnące, takie miłe! A ino się je obłupie, między zęby weźnie, ściśnie zębami dwa razy, dwa razy jęzorem majdnie i juz jajko przepadło na zawse. A choćby i taka kiełbasa, choć jest twardsa i odporniejsa, ale i z nią gęba wyposcona bez siedem tygodni migiem se da radę. Zawinie się parę razy, chraśnie ino i przepada na wieki wieków amen. Jak ją człek raz zji, to drugi raz jej ani pies jeść nie chce.

Jak się jesce trafi na ućciwego rzeźnika, to zrobi taką mocną kiełbasę, ze się jej choć człek naje porządnie, ale teraz ludzi takich niewiele i dzisiejse rzeźniki robią takie mikrutne kiełbasy, coby je i dwudniowe dziecko zgryzło, choć jesce ni ma zębów.

A zresztą teraźniejse święcone, co to za święcone! Drzewiej, jak powiadali nieboscka babka nieboscyka gróbarza, to kuzda gospodyni nagotowała dwie albo trzy kopy jaj, to było od świtania do wiecora co jeść, a i w nocy, jak się człek wedle bolenia w brzuchu obudził, było jesce coj nieco przetrącić. A dzisiaj taka na świecie panuje drogość, ze nawet za głupie kurze jajka, na które przecie nikt nie pracuje, mozna wziąć w mieście co tydzień parę złotych, to tez i gospodynie wolą ten kurzy owoc wynieść do miasta na sprzedaż, a na oświęt ino po jakie dwadzieścia na osobę ochfiarują.

Drzewiej prawie kuzden gospodarz zatłukł prosię, to i sam zjadł i celadnikowi upalił stync kiełbasiska, ze było co jeść, a dziś, jak która gospodyni kraje la siebie, to tam jesce jesce, ale jak przyjdzie ukrajać la celadnika, to se mało palicow nie poukrawa. Takie się ludziska chytre a skąpe zrobiły, ze jaze obrzydliwość bierze. A jak się znajdzie taka, która, co moze, to parobkowi daje, to musi se to dawanie odbić na gospodarzu tak, ze w dzisiejsych casach zawse jest ktoś pokrzywdzony: parobek, albo gospodarz. W niektórych wsiach jest jesce duzo takich ućciwych gosposiów, ze nad sirotami parobkami się litują, ale nie u nas w Psiej Wólce.

Zresztą, co tu duzo gadać. Wiadomo przecie, ze kuzda z dzieuch tak te, co się juz wydały, jak i te, które były niegdyś panienkami, lubią się na moją gębę patrzyć i we mnie się kochać i wieleby z nich chciało, cobym się z niemi choć jako tako ozenił. Ale, powiadam, cy która z was pomyślała, aby przynajmniej raz w rok koło Wielganocy tę moją gębę jako tako omaścić? Gdzie tam! Bez cały wielgi ty-

dzień patrzyłem, cy tam liściarz nie przyniesie z worek kiełbasy, albo z kobiałkę jajek, ale na bezdurno. Liściarz przynosił mi ino miłosne listy z pisaniem: „Żeń się Maciuś!", ale dowodów tej miłości w postaci cegoś ućciwego do jedzenia ani rus znaleźć nie mogłem. Ozenić to się i pies potrafi, ale zeby co posłać na święta takiemu człowiekowi, jak ja, to na to trzeba mieć anielski rozum. I jakby miało tak być dalej, to napisę do Pana Marsiałka do Warsiawy, coby na przyszłość poznosił wszelkie Wielganoce, a cłek nie będzie musiał patrzyć, jak się gospodyni sami obzyrają róznemi świętościami, a cłeka, jak przy wielkiem piątku karmią samemi zimniackami i barscykiem. Jak ma być równość, to niech będzie równość; nie będę miał ja jajek, ale nie będzie ich miała i moja gospodyni, nie będzie miała i Kaśka, nie będą miały i inkse panienki, które nad bidnemi sirotami nawet we święta nie mają ulitowania!

# Na bezludnej wyspie.

**Powieść awanturnicza.**

ROZDZIAŁ XIV.

Dokoła drzewa Wilhelmowego coraz większy panował ruch i ożywienie. Doskonale odżywione stado w godzinach południowych wracało z pastwiska, w cieniu drzew chroniąc się przed spiekotą słońca. Nie zachodziła obawa, że które ze zwierząt się zabłąka, gdyż wszystkie instynktownie trzymały się w pobliżu ludzi, a tak samo nie groziło niebezpieczeństwo innego rodzaju, albowiem na całej wyspie Godfrey nie zauważył ani jednego drapieżnego zwierzęcia.

Taki był stan rzeczy: nie najgorszy na razie, lecz całkiem niezadawalniający na czas dłuższy, gdy zdarzył się wypadek, który miał sprowadzić znaczne polepszenie losu rozbitków!

Było to 29 lipca. Godfrey przez całe przedpołudnie wałęsał się na wybrzeżu owej zatoki, koło której zatonęło „Marzenie", z tego też powodu nazwanej przez niego „Zatoką Marzenia". Chciał się przekonać, czy na tej części wybrzeża nie odkryje innego gatunku mięczaków, więc badał je bardzo dokładnie. A może też w głębi duszy żywił nadzieję znalezienia jakich szczątków rozbitego okrętu, gdyż żadną miarą nie mógł się pogodzić z myślą, że fala nie wyrzuciła na brzeg bodaj najdrobniejszej cząstki czy przedmiotu.

Doszedł do północnego cypla wyspy, całkiem piaszczystego, pozbawionego wszelkiej roślinności, gdy uwagę jego zwróciła skała całkiem dziwacznego kształtu, wyrastająca tuż u brzegu wśród kęp morszczyzny.

Jakby przeczuciem wiedziony, przyśpieszył kroku i można sobie wyobrazić jego radosne wzruszenie, gdy rzekoma skała okazała się kufrem, wkopanym głęboko w piasek przybrzeżny.

Czyżby przedmiot ten pochodził z „Marzenia"? I leży tu od chwili rozbicia? Czy też z późniejszej jakiejś katastrofy, jaka mogła się była wydarzyć u tych raf zdradzieckich? Trudno rozstrzygnąć. Bez względu jednak na pochodzenie, a nawet zawartość kufra, Godfrey z wielką radością przyjął ten dar niespodziany.

Przedewszystkiem oglądał go z zewnątrz, spodziewając się znaleźć na nim jakiś adres. Ani śladu napisu, ani nawet płyty metalowej, na której Amerykanie ryją zwykle początkowe litery imienia i nazwiska właściciela. Trochę rozczarowany, Godfrey pomyślał jednak, że we wnętrzu kufra znajdzie papiery, z których się dowie, skąd przesyłka pochodzi, z jakiego kraju i kto jej właścicielem! Tak czy owak, kufer zamknięty był hermetycznie, więc zawartość jego nie mogła chyba ucierpieć od wody morskiej. Był to kufer drewniany, obwleczony skórą i obity po wszystkich rogach mosiądzem, przytem umocniony szerokiemi pasami.

Mimo ogromnej ciekawości, Godfrey ani na chwilę nie pomyślał o wyrąbaniu wieka, postanawiając możliwie najostrożniej oderwać zamek. O przeniesieniu kufra do drzewa Wilhelmowego nie było nawet mowy, ze względu na jego ogromny ciężar!

Na wybrzeżu było dość twardych krzemieni, najrozmaitszego kształtu, więc Godfrey niezadługo wybrał jeden z nich i silnie uderzył nim w mosiężną płytę...

Ku ogromnemu jego zdumieniu, płytka odskoczyła w okamgnieniu, a zamek sprężynowy również się osunął, wcale nieuszkodzony.

Jakże gwałtownie biło serce Godfreya przy podnoszeniu wieka! Teraz dopiero przekonał się, że niełatwą byłoby rzeczą rozbić kufer, gdyby nawet był spróbował to uczynić!

Był to bowiem wspaniały kufer ogniotrwały, wewnątrz wybity cyną, niedopuszczającą wody ni powietrza! Toteż należało się spodziewać, że zawartość jego nie uległa uszkodzeniu, bez względu na jakość przedmiotów!

Cóż to były za przedmioty. Godfrey, wydobywając je po kolei, nie mógł się powstrzymać od okrzyków radości. Nie ulega wątpliwości, że kufer ten był własnością jakiegoś podróżnika-badacza, wybierającego się w okolice nieznane, przeto przygotowanego na wszelkie ewentualności! Więc przedewszystkiem była w nim bielizna: koszule, prześcieradła, poszewki, ręczniki, obrusy i serwety, następnie odzież: wełniane bluzy, pończochy cienkie i grube, obuwie skórzane, płócienne i aksamitne, trykoty, zarzutki, wreszcie trzy pary wysokich butów nieprzemakalnych, filcowe kapelusze i ubrania myśliwskie.

W głębszych pokładach olbrzymiego kufra natrafił na miednicę i dzbanek, a jeszcze głębiej — o radości! — przedmiot ich marzeń: garnek! Za nim wyłoniły się dalsze naczynia kuchenne, rondle, patelnie, czajnik do herbaty, maszynka do kawy, łyżki, noże i widelce.

Jeszcze głębiej spoczywały pakiety kawy, herbaty, oraz trzy blaszanki, napełnione spirytusem i rumem. Nie brakło też przyborów toaletowych, najrozmaitszych narzędzi stolarskich, kowalskich, ciesielskich i t. d.

Na samem dnie kufra znalazł Godfrey dwa noże myśliwskie w skórzanych futerałach, strzelbę, rewolwer, znaczne zapasy kul i prochu, wreszcie apteczkę domową, lornetę, kompas i chronometr.

Inwentarza nieocenionych tych skarbów dopełniało kilka książek angielskich, przyborów do pisania, biblja, wydana w Nowym Jorku i „Znakomity kucharz", przy pomocy którego Tartelett mógł się stać mistrzem na polu sztuki kulinarnej.

Nic dziwnego, że Godfrey nie posiadał się z radości, opróżniając wnętrze kufra! Gdyby sam był uczynił wybór, puszczając się w podróż, nie byłby napewno dokonał go z takiem znawstwem i przezornością! Istotnie, kufer ten, to skarb niezrównany, nieoceniony dla biednych rozbitków...




Skrzynię opróżniono z jej zawartości...

Z dziecinną radością rozstawiał na wybrzeżu całą zawartość kufra. Oglądał każdy przedmiot z osobna, lecz nigdzie nie znalazł bodaj strzępka papieru, z którego mógłby wywnioskować o pochodzeniu kufra, a przynajmniej okrętu, na którym się znajdował.

Oczywista, że o natychmiastowem zabraniu wszystkich tych rzeczy do drzewa Wilhelma, Godfrey nie mógł nawet myśleć. Transport wymagał kilkurazowej wędrówki, a zbytnio z nim zwlekać nie byłoby bezpiecznie, bo wszak każdej chwili mógł lunąć deszcz. Załadowawszy większą część rzeczy napowrót do kufra, Godfrey zabrał tylko strzelbę, rewolwer, trochę prochu i kul, lunetę i tak bardzo upragniony garnek. Następnie przymknął wieko kufra i szybkim krokiem ruszył ku domostwu.

Z jakąż radością witał go w godzinę później Tartelett!

Do południa było jeszcze daleko. Wobec tego Godfrey po spożyciu jakiegoś posiłku postanowił ruszyć z powrotem do zatoki, celem przeniesienia dalszych skarbów z kufra. Tartelett wyraził gotowość pomagania mu przy transporcie. Wszak nie potrzebuje już teraz czuwać nad ogniem, bo posiadając proch, mogą go każdej chwili rozniecić. Natomiast pomyślał profesor, że skoro doszli wreszcie do posiadania tego tak bardzo upragnionego garnka, to mogą przecież nastawić w nim mięso i jarzynę na obiad. W okamgnieniu ściągnął skórkę z królika, a poćwiartowawszy tłusty udziec, włożył go do garnka z wodą, posolił, zadrobił kilku korzeniami jamfu i ustawiwszy na ogniu, zgóry się już rozkoszował smakiem rosołu.

Nazajutrz wczesnym rankiem Godfrey i Tartelett ruszyli nad zatokę. W ciągu dnia trzykrotnie maszerowali tam i napowrót, obładowani zawartością kufra, a przed zachodem słońca wszystko zostało już przeniesione do domostwa.

Dla uwieńczenia dzieła wyruszyli na trzeci dzień, a było to pierwszego sierpnia, po pusty kufer, który odtąd miał figurować w drzewie Wilhelma jako komoda.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Niebieski liścik.

(Żarcik)

Mąż wychodzi do biura i jest już ubrany. Żona jak dobra żona, odprowadza go do drzwi. Gdy stanęli oboje na progu i właśnie mieli się pocałować na pożegnanie, zobaczyli listonosza.

— Mam coś dla państwa — rzekł, podając podłużny niebieski liścik.

Oboje wyciągnęli ręce. Oczywiście list chwyciła ona. Ale mąż zaprotestował.

— Daj mnie ten list — rzekł drwiącym głosem.

— Nie, nie mogę — odparła żona z niepokojem i ona bowiem podejrzywała, iż list pochodzi od kochanki męża. Czemu ty tak zbladłeś?

— Nie, moja kochana, to ty zbladłaś i dlatego chcę widzieć koniecznie, co to za pismo. Nie chowaj go!

— Dobrze, pokażę ci, ale po przeczytaniu — rzecze żona.

— Nie, ja naprzód przeczytam!

— Za nic w świecie, ja muszę go najpierw przeczytać.

— A dasz słowo, że po przeczytaniu oddasz mi ten list.

— No... jeszcze nie wiem.

— A więc sprawdzają się moje podejrzenia! — zawołał mąż.

— Jakie podejrzenia? Co za podejrzenia?

— Nic już, nic... Ale ja muszę ten list przeczytać, oddaj mi go zaraz...

— To raczej moje podejrzenia się sprawdzają; zauważyłam już dawno, że jesteś teraz inny.

— Proszę cię, moja kochana, to stary sposób spędzać winę na drugiego.

— Jakto? Cóż więc oznacza twoja obojętność? Albo to twoje ciągłe perfumowanie się, gdy wychodzisz do miasta, albo te kwasy, gdy wracasz do domu i niepokój z powodu tego listu? Ja go muszę przeczytać. O, ja nieszczęśliwa!

— Teraz będziesz lamentować. A założyłbym się, że to list pisany do ciebie i dlatego grasz teraz wyborną komedję. Słuchaj, to się musi raz skończyć. Daj mi ten list.

— To ty chyba grasz komedję — zawołała z płaczem żona. — Nie dam ci go za żadną cenę.

— Wiesz przecie, że spieszę do biura i nie mam czasu.

— Więc idź...

— Nie! Najpierw musimy skończyć z tym listem. Dasz go, czy nie!

— Nie, stanowczo nie!

— Otóż mam propozycję. Skoro nie możemy się pogodzić, spalmy ten list bez czytania — rzekł mąż.

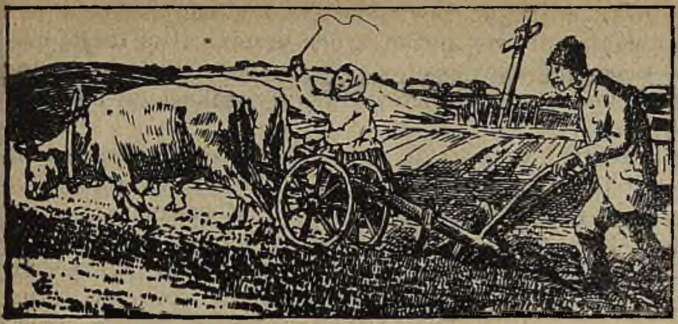
— Zgoda — odparła skwapliwie żona i rzuciła list do pieca.

Pismo spłonęło natychmiast. Oboje odetchnęli.

W tej chwili ktoś zadzwonił. Otworzono: we drzwiach stał listonosz.

— Proszę państwa — rzekł — ja tu przez pomyłkę oddałem niebieski liścik, który miałem doręczyć panu radcy z pierwszego piętra... Proszę mi go zwrócić!

*Kozłowski Antoni.*



# Poradnik gospodarczy.

**Podkarmianie pszczół na wiosnę.**

Tegoroczny marzec był dla pszczół pod każdym względem paskudny. Temperatura przez cały miesiąc tak zrana, jak i wieczorem utrzymywała się niemal stale poniżej zera, dochodząc często do 7, a 6 marca nawet do 11 stopni mrozu. A i w południe w cieniu nie mogła się podnieść ponad 6 stopni, z wyjątkiem 21, 22, 23 i 24 tak, że 22 doszła nawet do 16 stopni ciepła w cieniu. A ponieważ przytem 21 była piękna pogoda, a 22 dzień pochmurny, ale bez deszczu, mogły się pszczoły w dniach tych nietylko oblecieć, ale nawet przynieść sobie nieco potrzebnej im wody. Lecz i na tem koniec; ciepłota spadła nagle, przyszły nawet dość silne przymrozki tak, że pszczółki już zupełnie wylatywać nie mogły, jeżeli nawet w godzinach południowych niektóre z nich na wylot się odważyły, to wiele z nich do uli nie powróciło. Dlatego też w marcu ubytek pszczół w ulach był znaczny, a przybytek niewielki.

Niewiadomo, jaki będzie kwiecień, ale przecież przypuszczać należy, że ciepłota się podniesie tak, że przynajmniej pszczoły będą mogły lecieć po wodę i pyłek, którego już teraz dość będą dostarczały niektóre kwiaty. Ale wszystko to dla nich zamało. Ze względu na znaczne osłabienie pni w marcu, pasiecznik powinien starać się w kwietniu, aby braki w ulu w rodzinie pszczelej wyrównać. Trudno pszczoły sprowadzać gdzieś z ciepłych krajów i wsadzać do ula. Jest to nietylko rzecz niemożliwa, ale gdyby nawet była możliwa, zupełnieby się nie opłaciła. Na powiększenie rodziny pszczelej w ulu mamy inny sposób t. j. zmuszenie matki, aby znosiła jak najwięcej jajeczek, z których się wylęgają setki i tysiące pszczół. Jest nim spekulacyjne podkarmianie pszczół. Oczywiście spekulacyjnie można podkarmiać tylko te pszczoły, które mają dostateczne zapasy miodu w ulu. Gdybyśmy bowiem podkarmiali spekulacyjnie pszczoły, które mają szczupłe zapasy pożywienia i zmusili przez to matkę do szybszego czerwienia, to wkrótce pszczoły zużytkowałyby niewielką ilość miodu na wyżywienie czerwiu, a potem padłyby z głodu. Jeżeli więc w ulu zapasy miodu są małe, należy najpierw podkarmić dobrze pszczoły, dając im 3—4 kilogramów gęstego syropu, a dopiero potem można i takie podkarmiać spekulacyjnie.

Spekulacyjne podkarmianie polega na tem, że pszczołom, mającym dostateczne zapasy pożywienia, podaje się co drugi lub trzeci dzień rzadkiego syropu (kilogram cukru na 2 litry wody) mniej więcej jedną ósmą litra. Syrop poddaje się na noc, a w dzień tylko wówczas, gdy pada lekki ciepły deszczyk, aby nie spowodować napadu. Pszczoły syrop taki z wesołym brzękiem znoszą do plastrów. Matka nie pyta, skąd one to biorą, zdaje jej się, że okazał się już na polu pożytek, a wskutek tego czerwi bardzo silnie. W ulu przybywa codziennie kilkaset jajeczek, z których po trzech dniach wylęgają się małe gąsieniczki. Pszczoły obsiadają gęsto plastry, karmią wylęgłe gąsieniczki, ciepłota w ulu podnosi się i siła w ulu poczyna się szybko wzmagać. Gdy będziemy podkarmiali pszczoły spekulacyjnie przez cały kwiecień, a nawet w pierwszej połowie maja, to na koniec maja przyjdą one do wielkiej siły tak, że już w tym miesiącu a najpóźniej z początkiem czerwca dadzą nam silny rój. Gdy zaś przyjdzie główny pożytek w polu, to za każdy kilogram poddanego im syropu dadzą 10 i więcej kilogramów miodu. Wydatek opłaci się stanowczo i żałować go nigdy nie należy.

Przy podkarmianiu spekulacyjnem należy jednak zważać bardzo, aby nigdzie w pasiece nie rozchlapywać syropu, aby nie walać uli, bo może to spowodować napad pszczół, do którego one w tym czasie są bardzo skłonne. Jeżeliby się zdarzyło, że się tam gdzieś parę kropel syropu rozleje, to trzeba go natychmiast zasypać ziemią, a gdyby się ul nazewnątrz pobabrał, to trzeba te miejsca wytrzyć dobrze mokrą szmatą, a następnie zatrzyć je jeszcze chrzanem, cebulą, albo inną mającą ostry zapach rośliną.

Jak zaznaczyliśmy, z wiosną pszczoły są bardzo skłonne do rabunku, a gdy się im uda zrabować jeden pień, rzucają się na inne i tak mogą zniszczyć całą pasiekę. Dlatego też należy wszelkiemi siłami starać się, aby do takiego rabunku nie dopuścić. A więc w pierwszym rzędzie nie rozlewać nigdzie miodu ani syropu, a ponadto należy utrudniać dostęp obcym pszczołom do ula, pozostawiając wyloty w ulach tylko takie, aby mogła przez nie przejść jedna tylko pszczoła. Taki wylot gospodynie pnia łatwo obronią przed nieproszonemi gośćmi i napad im obrzydzą. Natomiast gdy pozostawimy wylot duży, przez który mogą wchodzić i wychodzić całe gromady pszczół, to wówczas gospodynie namordują się tylko, wiele ich padnie trupem przy obronie swego mienia, a obronić go nie zdołają. Gdybyśmy jeszcze do tego podkarmiali pszczoły spekulacyjnie w dzień jasny, ciepły, to niechybnie napad takibyśmy sprowadzili. Bo pszczoły po brzęku zaraz poznają, że tam u ich sąsiadek panuje jakieś szczególne zadowolenie, jakaś niecodzienna radość, chcą się więc na swój sposób tą radością podzielić i usiłują wedrzeć się przemocą do zagrody swych sąsiadek i zabrać im z poddanych zapasów, ile się tylko da. A gdy się im to raz uda, nic ich już nie powstrzyma od napadów na dalsze pnie i niszczenie ich aż do skutku. W zapasach tych setki pszczół ginie, resztki ze zrabowanych pni łączą się z swoimi wrogami i idą razem z nimi na dalsze rozbójnicze wyprawy. Dopuszczenie do rabunku jest klęską dla własnej pasieki, a często i dla pasiek sąsiednich.

# Poradnik lekarski.

**Zgaga.** Jest to pieczenie w gardle. Przyczyny: niestrawność i choroba żołądka. Jako środek leczniczy można zażyć na koniec noża sproszkowanej kredy, magnezji, aptecznej sody. Pić herbatę z tysiącznika, centurji i piołunu.

**Zimne nogi.** Choroba ta występuje zwykle u osób niedokrewnych, osłabionych, a zwłaszcza na złe trawienie cierpiących. Należy używać ruchu, unikać ciężkich pokarmów, nogi ubierać ciepło i smarować spirytusem mrówkowym lub rumem.

# KRONIKA.

**Samobójstwo umysłowo chorego.** Na przestrzeni między Balinem a Trzebinią rzucił się pod przejeżdżający pociąg towarowy pracownik kolejowy Adamaszek Franciszek. Koła pociągu urwały nieszczęśliwemu obie nogi. Po przewiezieniu go do szpitala w Krakowie Adamaszek zmarł. Wedle dochodzeń denat miał być umysłowo chorym.

**Podejrzana śmierć kobiety.** Dnia 12 marca b.r. w Wiśniczu, pow. bocheńskiego, zmarła wśród podejrzanych okoliczności Rozalja Wójcik. Sekcja zwłok, przeprowadzona w kilka dni później wskutek doniesienia policyjnego przez organa sądowe, wykazała, że śmierć nastąpiła wskutek uszkodzenia wewnętrznych narządów gwoździem około 6 cm. długim, specjalnie zaostrzonym, na jednym końcu w drewnianą rączkę. Kto był mordercą nieszczęśliwej, dotychczas niewiadomo.

**Żona zadusiła własnego męża.** Z Nowego Sącza donoszą: Jan Bochenek, zamieszkały w Paszynie pow. Nowy Sącz, doniósł komisarjatowi policji, że w nocy synowa jego Katarzyna Bochenek przy pomocy swych opiekunów Jana i Józefy Śliwów udusiła męża swego, a syna donoszącego Stanisława Bochenka. Wydelegowani na miejsce czynu funkcjonarjusze policji ustalili następujący przebieg tego morderstwa. Zamordowany Stanisław Bochenek krytycznego dnia po przyjściu z kościoła położył się na spoczynek nocny. Obudziwszy się około 2-giej w nocy, podszedł do łóżka swej żony, która spała w tymże pokoju. Wówczas doszło między małżonkami do kłótni, w czasie której Bochenkowa chwyciła męża swego ręką za usta i poczęła go dusić, budząc głośnem wołaniem opiekunów swych Jana i Józefę Śliwów, śpiących w sąsiedniej izbie. Obudzeni pospieszyli Bochenkowej na pomoc i wspólnie z nią wynieśli Bochenka na pole, gdzie żona jego przy pomocy usłużnych opiekunów, zaciskając ręce na gardle, udusiła go. Wskutek tych ustaleń aresztowano Katarzynę Bochenek oraz Jana i Józefę Śliwów, poczem odstawiono ich do więzień przy sądzie okręgowym w Nowym Sączu, przed którym odpowiadać będą za dokonane morderstwo.

**Aresztowanie niebezpiecznego bandyty.** W ubiegłym tygodniu aresztowano trzech niebezpiecznych kasiarzy w Nowym Sączu, którzy w nocy z 25 na 26 marca usiłowali dokonać włamania do kasy Rady powiatowej w Grybowie. Przy aresztowanych znaleziono wówczas broń palną i narzędzia służące do włamań kasowych. Aresztowani podali się za Guzika Józefa, Srokę Jana i Kozłowskiego Józefa. Przy sprawdzaniu ich tożsamości wyszło jednak na jaw, że bandyta, używający nazwiska Guzik, jest znanym włamywaczem Dylągiem Ludwikiem, który w maju 1929 r. zbiegł z więzienia w Wiśniczu, gdzie odsiadywał karę kilkuletniego więzienia. W sierpniu 1930 r. po napadzie bandytów na pociąg towarowy na przestrzeni Biadoliny Bogumiłowice, organom policyjnym udało się ująć Dyląga i odstawić go do sądu w Krakowie, skąd przekazano go następnie sądowi okręgowemu w Tarnowie. Bandyta jednak, przepiłowawszy kraty, uciekł. Po ucieczce począł dalej swemi występami niepokoić tutejsze i sąsiednie województwa. Ostatnio wreszcie wpadł w ręce władz bezpieczeństwa po długim i mozolnym pościgu. Ujęcie niebezpiecznych opryszków przyczyni się znacznie do wzmocnienia stanu bezpieczeństwa w województwie. Tak po zlikwidowaniu bandy Kamyczka i Kopty, w bardzo krótkim odstępie czasu zlikwidowano drugą również niebezpieczną szajkę.

**Pożar w rafinerji nafty.** W rafinerji naftowej w Stróżach Wyżnych wybuchł z powodu pęknięcia kotła destylacyjnego, zawierającego w chwili wybuchu pozostałości naftowe, pożar, który przerzucił się następnie na sąsiednie wozy opałowe. Wysokość szkody oceni dopiero komisja rzeczoznawców. Wypadków w ludziach nie było.

**Wielki Lwów.** W dniu 31 marca b. r. ogłoszono w sali Rady miejskiej we Lwowie akt przyłączenia kilku gmin podmiejskich, a mianowicie: Kleparów, Hołosko Małe, Zamarstynów, Zniesienie, Kulparków i Sygniówka, oraz części gmin Biłohorszczy (Lewandówka), Krzywczyc i Kozielnik. Wszystkie one będą odtąd tworzyć jedną całość z miastem. Dotychczasowy obszar miasta, obejmujący 31 4 kilometrów kwadratowych, powiększył się przeszło dwukrotnie, bo na 66 9 klm. kwadr., a liczba mieszkańców wzrosła do 300.000 zgórą. Ruchomy i nieruchomy majątek wymienionych gmin przeszedł na własność gminy miasta Lwowa, która przyjęła zarazem wszelkie zobowiązania tych gmin. Wskutek tego przyłączenia Lwów staje się trzeciem wielkiem miastem w Polsce po Warszawie (przeszło miljon mieszkańców) i Łodzi (orzeszło 400 00 mieszkańców.

**Straszny czyn zrozpaczonej matki.** We Lwowie rozegrała się grozą przejmująca scena. Oto matka zamordowała jednego syna, drugiego bardzo ciężko pokaleczyła. Mianowicie w realności przy placu Benedyktyńskim L. 2 mieszkała Honorata Ptaszyńska, wdowa po drukarzu, licząca lat 46, z dwoma swoimi synami, a to Tadeuszem, liczącym 9 lat i 6 letnim Janem. W nocy po 2 godzinie Ptaszyńska wstała z łóżka, a chwyciwszy nóż kuchenny, zbliżyła się do miejsca, w którem spał syn jej Tadeusz i momentalnie nożem przecięła mu krtań, tak, że pogrążony we śnie syn, nie obudziwszy się nawet, zakończył życie wskutek silnego raptownego upływu krwi. Ponieważ w czasie mordu Ptaszyńska wywołała stukot i wydawała z siebie jakieś okrzyki, zbudził się drugi jej syn, Jan. Na zapytanie tego: „Co mama robi!“ Ptaszyńska z nożem w ręku rzuciła się na niego i usiłowała go również zamordować, zadając mu cięcia na gardle i piersiach. Chłopak silnie bronił się przed atakami matki i największym wysiłkiem głosu swego wzywał o pomoc. Na krzyk ten obudzili się sąsiedzi, wtargnęli przemocą do mieszkania Ptaszyńskiej i ubezwładnili ją, skutkiem czego mały Janek uniknął śmierci. Rannym zaopiekowało się Pogotowie ratunkowe. Zaalarmowana tym wypadkiem policja, aresztowała Ptaszyńską. Z dochodzeń wynika, że Ptaszyńska, będąc nerwowo chorą, w nocy dostała obłędu i w szale dokonała morderstwa. Choroba ta rozwinęła się u niej na tle braku środków do życia. Ptaszyńską następnie sprowadzono do biura wydziału śledczego. Opowiadała ona tam dokładnie o przebiegu dokonanego morderstwa. Najpierw zarżnęła starszego syna Tadeusza, jak kurę. Ten miał jeszcze na tyle siły, że zerwał się z łóżka i uciekał do drzwi, lecz w drodze runął na podłogę i zakończył życie. Gdy następnie usiłowała zamordować młodszego syna Jana, ten po pierwszem cięciu szyji, zbudził się ze snu i począł prosić się: „Mamusiu, mamusiu, daruj mi życie“, przyczem rączkami zasłaniał szyję, wobec czego pocięła mu ona palce. W dalszym ciągu Ptaszyńska opowiada, że w nocy rzekomo „zjawiła się“ jej Matka Boska, na której „polecenie“ chwyciła nóż i starała się uśmiercić dzieci. Wogóle zdradza pomieszanie zmysłów.

**Włamanie do banku w Złoczowie.** Donoszą ze Złoczowa, że do tamtejszego banku gospodarczo-spółdzielczego dokonano włamania. Włamywacze rozpruli kasę ogniotrwałą i zabrali z niej 470 dolarów i 2.600 zł. Natomiast nie zdążyli otworzyć trzeciego schowka, w którym znajdowało się 1.600 dolarów i kilkadziesiąt tysięcy zł. Bank nie ponosi straty, kasa była ubezpieczona.

**„Cudowne“ uzdrowienie.** Wilhelm Altheim, gospodarz w Łanach Dolnych pow. Stryj, czuł się niezdrów. Zamiast udać się do lekarza w Stryju, wołał zasięgnąć porady „czarodzieja“. Zgłosił się bowiem u niego jakiś osobnik i przedstawił się jako czarownik, który zapomocą złego ducha leczy wszelkie choroby. Po krótkich pertraktacjach dobito targu. Altheim dał mu 3 jaja, 2 bochenki chleba, litr wódki, flaszkę wody święconej, trochę oliwy, rycynusu, raglan, paczkę tytoniu, ubranie, fartuch damski, 15 zł. i 2 dolary. Po otrzymaniu tych wszystkich rzeczy i gotówki, rozbił jaja, ukroił kawał chleba na krzyż, z kieszeni wyjął płyn jakiś, dolał trochę święconej wody. Napił się wódki, związał rzeczy, gotówkę zgarnął do kieszeni. Następnie począł stroić rozmaite miny. Udawał, że czyni czary. Na koniec zażądał, by mu dano kilka kawałków cukru. Polecił następnie Altheimowi, by trzymał w ręce jedną kostkę cukru, drugą dał jego żonie. Nakazał im, by cukier trzymali w ręce tak długo, aż on wróci. Naiwnym kmiotkom ręce wprost zdrętwiały. Obawiali się odłożyć cukier dany przez „czarownika“. Dopiero sąsiad ich, wszedłszy, zobaczył, że trzymają w ręce cukier i nie ruszają się. Zapytywani opowiedzieli wszystko. Ten z miejsca zmiarkował, że ma się tu do czynienia z oszustem. Zgłoszono wypadek w komisarjacie policji. Posterunkowy Szatanik wyśledził „czarodzieja“. Okazał się nim Michał Goldstein z Przewłoki, pow. Buczacz. Przed kilku laty przeszedł na wiarę grecko katol. Żonę Marję Janiszyn porzucił i puścił się na bystre fale oszustwa. Wraz z doniesieniem oddano go do sądu. Wypadek ten, jak i wiele innych, powinien być ostrzeżeniem, by ludzie na wypadek choroby, leczyli się u lekarzy i nie szli na lep wydrwigroszy. Altheim po tym wypadku zostanie zapewne wyleczony z swej głupoty.

**Żywcem pochowane dziecko.** O wstrząsającym wypadku został zawiadomiony wydział śledczy policji w Drohobyczu. Oto z końcem grudnia ubiegłego roku ze wsi Radelicz koło Medenic w powiecie drohobyckim zniknęło nagle nowonarodzone dziecko niejakiej Katarzyny Gieryło. Przesłuchiwana kilkakrotnie przez tamtejszy posterunek matka zaginionego dziecka nie mogła dać bliższych wyjaśnień. Ponieważ nic konkretnego nie można było jej zarzucić, pozostawiono ją na wolności. Dopiero w tych dniach sprawa się wyjaśniła i doprowadziła do sensacyjnych szczegółów tajemniczego zniknięcia dziecka. Okazało się, że Katarzyna Gieryło zawinęła własne żywe dziecko w szmatę i urządziła prawdziwy pogrzeb, udając się na cmentarz. Tam po odprawieniu modłów, wrzuciła „trumnę“ wraz z dzieckiem do dołu, zasypując ją chrustami. Nieszczęśliwe dziecko oczywiście zmarło. Po ujawnieniu powyższych szczegółów matkę aresztowano. Aresztowana oczywiście do winy się nie przyznaje, twierdząc, że dziecko urodziła nieżywe. Pomimo tego odstawiono ją do sądu w Medenicach

**Fałszerze monet.** W tych dniach policja państwowa wpadła na trop fałszerzy monet w Łosicach, pow. konstantynowskiego. W wyniku przeprowadzonych rewizyj znaleziono foremkę gipsową do odlewania jednozłotówek, oraz inne przybory, służące do produkowania fałszywych pieniędzy. Nadto znaleziono pewną liczbę fałszywych jednozłotówek i 50 groszówek. Przeprowadzone w związku z tem śledztwo zatacza coraz szersze kręgi. Bliższe szczegóły trzymane są narazie w tajemnicy.

**Samosąd nad złodziejem.** W Kolkach koło Łucka na jarmarku włościanie złapali na gorącym uczynku kradzieży Joachima Namioniuka i tak go pobili, że ten wkrótce zmarł.

**Ucieczka defraudanta.** Donoszą z Łucka: Kasjer Kasy pożyczkowo-oszczędnościowej w miejscowości Miesuchojzo, pow. kowelskiego, Jan Arseniuk dokonał defraudacji większej kwoty pieniężnej oraz skradł księgi kasowe i kwitarjusze, poczem zbiegł w niewiadomym kierunku. Za zbiegiem władze śledcze zarządziły pościg.

**Fabryka fałszywych banknotów.** W Brześciu aresztowano Zenona Tymińskiego, który prowadził fabrykę fałszywych banknotów 100 zł. W mieszkaniu znaleziono maszyny, sztance oraz znaczny zapas falsyfikatów. W chwili, gdy policja wkroczyła do mieszkania, zastała tam jeszcze 3 osobników zajętych „pracą“. Aresztowano ich również.

**Utonął w piwie.** W Dokszycach, woj. wileńskiego, Szaloma Lewitan zakradł się do browaru z zamiarem kradzieży piwa. W czasie czerpania piwa wiadrem wpadł do ogromnej beczki o pojemności 2 000 litrów i utonął.

**Zamordowanie dziewczynki.** W lesie w pobliżu wsi Pyzdry, pow. Słupca, zamordowano 13-letnią Annę Stangret, wysłaną przez rodziców do sąsiedniej wsi po odbiór pożyczonych jednemu z krewnych pieniędzy. Jak się okazało, zamordowana pożyczonych pieniędzy nie odebrała Na ślad sprawców dotychczas nie natrafiono.

**Żywcem spalony w piecu piekarskim.** We wsi Koszow, niedaleko Bratysławy na Słowaczyźnie, zaszedł w tych dniach mrożący w żyłach krew wypadek. Gospodarz Zodomirski poskarżył się swemu sąsiadowi, że od pewnego czasu cierpi na przeziębienie, sąsiad polecił mu wygrzanie się w piecu do pieczenia chleba, w ten sposób, aby przez całą noc tam spał, co doskonale miało wpłynąć na wypocenie się. Nierozważny wieśniak usłuchał rady sąsiada i, nie mówiąc o tem swej żonie, późnym wieczorem wszedł do pieca, położył się w samym końcu pod ścianą i twardo zasnął. Żona jego, nie przypuszczając, aby mąż mógł posunąć się do takiej lekkomyślności, gdy nazajutrz zbudziła się ze snu, napaliła w piecu, aby upiec chleb, następnie drzwi od pieca szczelnie zamknęła, celem utrzymania potrzebnego dla chleba ciepła i wyszła do miasta po sprawunki. Po powrocie do domu otworzyła żelazne drzwiczki, przy których leżały zwęglone zwłoki męża, który, prawdopodobnie chcąc się ratować, usiłował drzwi wypchnąć, lecz brakło mu sił i poniósł straszliwą śmierć.

**Groźne wrzenie na Ukrainie.** Sytuacja na Ukrainie niezwykle zaostrzyła się. W Kijowie i Odesie ogłoszono stan wojenny. Wojskowych Ukraińców przetransportowano do Rosji i do Azji Środkowej. Aresztowania oficerów sowieckich na Ukrainie trwają. W Charkowie przebywa stale główny inspektor polityczny armji czerwonej Hamarnik. Aresztowano również wybitnych przedstawiciele inteligencji między innemi adw Zorina oraz wybitnego uczonego prof Fiłatowa. W miejscowości Sumy wykryto organizację przeciwsowiecką, przyczem aresztowano 500 osób. Ukraińców usunięto prawie ze wszystkich stanowisk.

**Brylantowe wesele.** Rzadka, naprawdę uroczystość odbyła się w Niemczech. Jubilatami takiego wesela są małżonkowie, którzy przeżyli w małżeństwie lat 75. Jest to w swoim rodzaju rekord pożycia małżeńskiego, naprawdę do pozazdroszczenia Ludzie, którzy mają sto lat życia, są dzisiaj rzadkością, a fakt małżeństwa siedmdziesięcioletniego jest poprostu sensacją niebywałą, godną zanotowania. W miejscowości niemieckiej Wuppertal żyje niejaki Kasper Hucker z małżonką Henriettą. Para ta zawarła ze sobą małżeństwo w r. 1856. W r 1881 święciła swoje srebrne wesele. Możnaby sądzić, że małżonkowie ci byli bardzo młodzi, gdy się pobrali. Nic podobnego. Pani Hucker miała wówczas lat 23, a pan Hucker lat 25 Małżeństwo to miało ośmioro

dzieci, z których czworo pozostało przy życiu. Jedna z córek tego małżeństwa ma widocznie zamiar wstąpić w ślady rodziców, gdyż niedawno obchodziła złote wesele. P. Hucker w czerwcu b. r. będzie miał 100 lat. Należy on do klubu, który się zowie „Jugendbund" (Związek młodych) Czy nie dziwny zbieg okoliczności?

**Młodociani bandyci.** Zakończył się w Antwerpji proces przeciwko bandzie złodzieji, której członkowie liczą od 8 do 11 lat. Herszt bandy miał 8 lat i on to układał plany napadów, mając na specjalnym karnecie spis imion członków, jak i role przypadające im w napadzie. Trzech z nich skazano na dom poprawy, jeden został zwolniony. Podobna sprawa toczyć się będzie wkrótce w Brukseli przeciwko 10 letniemu chłopcu. W związku z tem na terenie Belgji zabroniono sprzedaży gazet sensacyjnych, zauważono bowiem demoralizujący ich wpływ na młodzież.

**Z rozpaczy po stracie zębów.** W jednym z domów w Londynie popełniła samobójstwo niejaka Ida Gleigh, lat 56. Zatruła się gazem. Dochodzenie sądowe ustaliło, że leciwa panna cierpiała od dłuższego czasu na zęby, których stan był rozpaczliwy. Straciwszy resztę zbolałych pieńków, Ida Gleigh zaczęła stronić od ludzi, wreszcie zapadła na żołądek. Gdy wezwany lekarz zaopinjował, że niezbędne jest wstawienie zębów sztucznych, nieszczęśliwa oświadczyła mu, że nie potrafiłaby żyć ze sztucznemi zębami, a życie bez zębów niema dla niej uroku. W rezultacie niemądra kobieta pozbawiła się życia.

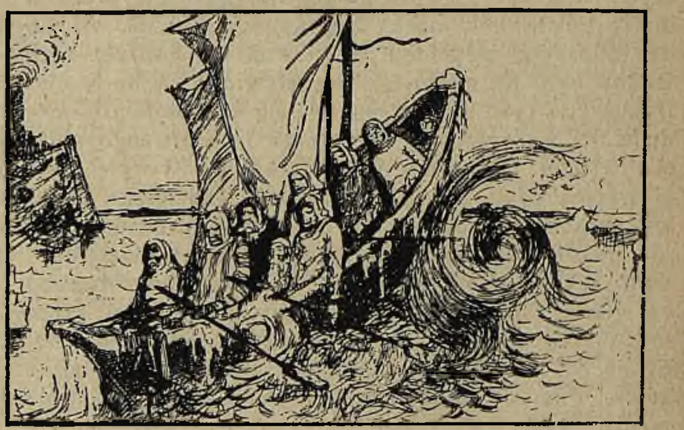
**Zapadająca się ziemia.** W okolicy między Sheringham i Mundesley załamuje się od pewnego czasu wybrzeże morskie Anglji. To osuwanie się ziemi w morze z pewną stałością notują już od roku 1927. Wedle przybliżonego obliczenia, morze pochłonęło w ciągu tych czterech lat przeszło pół miljona ton ziemi. W związku z tem zjawiskiem przybyło inne jeszcze niebezpieczeństwo: mianowicie spękane wybrzeże odsłoniło w niektórych miejscach podskórną wodę bieżącą, która znajdując ujście, bije w górę i zagraża przechodniom. W pobliżu miasteczka Trimigham oberwał się w ub. tygodniu tak wielki kawał ziemi, że szosa znalazła się prawie w bezpośredniem sąsiedztwie z morzem. W miejscowości Cromer to samo.

**Katastrofalne trzęsienie ziemi w Ameryce.** W dniu 31 z. m. miało miejsce katastrofalne trzęsienie ziemi w Ameryce środkowej. Trzęsienie to dotknęło szczególniej miasto Managua, w którem w chwili trzęsienia wybuchł pożar na rynku, zapełnionym tłumem kobiet i dzieci. Kilkadziesiąt osób zginęło w płomieniach. Cały szereg domów dookoła rynku z ogłuszającym trzaskiem runęł w płomieniach, grzebiąc pod rumowiskiem setki ofiar. Gmachy poselstwa angielskiego i Stanów Zjednoczonych zostały spalone na popiół, wszystkie gmachy rządowe zostały zniszczone. Według dotychczasowych obliczeń liczba zabitych w Managua dochodzi do 2.500 osób, rannych jest kilka tysięcy ludzi.

**Niezwykłe okrucieństwo bandytów.** Niezwykły wypadek okrucieństwa bandytów, przechodzący okropnością wszystkie dotychczasowe, miał miejsce w Chicago. Bandyci napadli na bogatego kupca Georga Witbroda, którego obrabowali, a samego ogłuszyli i wywieźli na podmiejski cmentarz. Na cmentarzu bandyci przybili nieszczęśliwego do jednego z krzyżów nagrobkowych i tam męczyli go w najstraszliwszy sposób przeszło godzinę. Następnie żyjącego zamknęli w jednym z grobowców, sądząc, że już ma za mało sił do wezwania pomocy. Przypadkowo koło cmentarza przechodził właśnie pewien wieśniak, który usłyszał jęki torturowanego i dał znać policji. Po długich poszukiwaniach policjanci odnaleźli Witbroda w grobowcu na pół żywego. Bandyci w ten sposób chcieli wymusić zeznania o miejscu ukrycia pieniędzy przez kupca.

**Skarb w garbie.** Dziwne bywają czasy bezdroża duszy ludzkiej. Często się zdarza, iż ludzie uprawiający „zawód" żebraka, dochodzą w ten sposób do znacznego majątku. Mogliby tedy rozpocząć życie wygodne i solidne, a nie narażać się na nieprzyjemności i trudy, związane czy to z ustawicznem przebywaniem na ulicy w największą nawet niepogodę, czy też z upokorzeniami, nieodłącznemi od życia żebraka. Tymczasem wolą oni trwać dalej w nędzy i upodleniu, a pieniądze gromadzą, zbyt są do nich przywiązani, aby się ich pozbywać. Oto charakterystyczny wypadek, zanotowany obecnie przez gazety amerykańskie. W Chicago przebywa 70-letni garbaty żebrak, który często pojawia się na ulicach tego miasta, aby wyciągać rękę po jałmużnę. Niedawno aresztowano go i sprowadzono na policję. Tutaj jakiś policjant poklepał go żartobliwie po garbie i stwierdził ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że garb ten dziwnie jest twardy i kanciasty. To zrodziło w nim podejrzenie, że garb jest sztuczny. Przeprowadzona rewizja osobista dała nieoczekiwany rezultat. Okazało się mianowicie, że garb jest rzeczywiście sztuczny oraz, że mieści w sobie rodzaj kasy, zawierającej 1.110 dolarów oraz 7 700 szylingów. Nawiasem należy dodać, że ów żebrak jest z pochodzenia Niemcem i nazywa się Wilhelm Müller.

**Straszna łódź.** Krążący po jeziorze Erie w Ameryce Północnej parowiec zauważył w pewnej odległości łódź rybacką z załogą złożoną z 9 osób, podrzucaną przez fale. Załoga siedziała nieruchomo nawet wówczas, gdy parowiec zbliżył się i poczęto zeń nawoływać. Pochwycono więc łódź i wówczas przekonano się, że znajdujący się w niej ludzie — nie żyją. Twarze ich pokryte były grubą warstwą szronu, z włosów zwieszały sople lodu, a przemoczone poprzednio ubrania, zamarzłszy, tworzyły prawdziwy kamień. Rybacy siedzieli na swych miejscach sztywnie, trzymając w ręce wiosła.



Na jeziorze panował silny mróz połączony z wichrem, który nieszczęśliwych rybaków zagnał w odległe miejsca, w których stracili widocznie orjentację i zostali zamrożeni.

**Niebywała plaga myszy.** Prowincję australijską, Kolire Nullabor, wzdłuż linji kolejowej transaustralijskiej, nawiedziła niewidziana dotychczas plaga myszy, które całemi miljonami zalegają nieraz pobliskie równiny. Jeden z urzędników stacji kolejowej opowiada, że podczas, gdy był zajęty w pociągu, tysiące myszy wtargnęły do jego biura i zaczęły pożerać zwinięte w worku banknoty. Myszy nie oszczędziły ani jednego domu w całym okręgu, niszcząc meble, pościel i t. d. Plaga myszy nawiedziła kilkukilometrowy obszar.

# RZECZY CIEKAWE.

### Sen na zamówienie.

Jak to powszechnie wiadomo, przesypiamy trzecią część życia. Gdybyż to jeszcze sen był zawsze wypoczynkiem! Lecz ileż razy budzimy się okropnie przerażeni, prześladowani przez niesamowite zjawy. Czasami zaś śni nam się coś bardzo miłego. Aż żal się budzić...

Oddawna ludzie dążyli do sztucznego sprowadzania snu. I przekonano się, iż dym roślin aromatycznych, jak: lulku, haszyszu, opjum, sprowadza rozkoszne wizje. W Chinach od wieków już odurzają się nałogowo w specjalnych palarniach opjumem, nie bacząc na ruinę zdrowia.

Uczeni zdawna zajmowali się tą kwestją i doszli do przekonania, że na jakość snu mogą wpływać również czynniki chemiczne i mechaniczne. Gdy podtrzymamy pod nosem śpiącego przez pół minuty odrobinę waty, zwilżonej opjum lub eterem, to powoduje u badanego sen miły, natomiast zmaczana w chlorze, amonjaku lub karbolu, okropny, albo wręcz obrzydliwy. Tykanie budzika, oddalonego od śpiącego o 1 metr, wywołuje w nim wrażenie miłej rytmiki marszu czy orkiestry, a zbliżenie zegara do 20 cm., jako uderzenia piorunów. 20-gramowy odważnik, położony na skroni, fabrykuje wrażenie przytulenia się ukochanej osoby, a ciężar 2 kg. wywołuje w śpiącym przekonanie, iż wali go ktoś pałą w głowę. 4% roztwór wanilji sprowadza przyjemny sen o szczęśliwych chwilach, a 2% dawka amonjaku wprowadza śpiącego w nielada ambaras: zdaje się mu, że wpadł do ustępu.

Jeżeli chce się być we śnie młodym, kochanym i szczęśliwym, trzeba oddychać mile pachnącemi substancjami. Kiedy zaś chcemy przez sen umartwiać się i cierpieć, można z gwarantowanym skutkiem oddychać wstrętną wonią. W ten sposób możemy zwiększać nasze szczęście i nieszczęścia, nosić je zwyczajnie przy sobie we flaszeczce. A jeżeli jeszcze ktoś uproszony przez nas, będzie nam kładł na czoło ciężarki, zmieniał je, grał różne melodje — jesteśmy szczęśliwi lub nieszczęśliwi przez spory szmat życia i naprawdę z własnej woli.

*Czesław Wośkowski.*

### Walka z dzikiemi psami.

Pies jest przyjacielem człowieka. Ale nie zawsze i nie wszędzie. W pewnych krajach nie jest on jego towarzyszem, lecz raczej zaciętym wrogiem, którego się tępi z tem większą zaciekłością, im trudniej jest zabezpieczyć się przed wyrządzonemi przez niego szkodami.

Taki stan rzeczy jest np. w Australji. Z dawien dawna, już nawet w epoce kiedy pustynny dziś w wielkiej swej części „piąty kontyngent", był krajem kwitnącym i żyznym, obfitującym w wszelkiego rodzaju bydło, żył i rozmnażał się tam gatunek dzikich psów, zwanych „Dingo". Psy te żywiły się prawie wyłącznie bydłem, chwytając pojedyncze sztuki, gdzie im się udawało, a idące w gromadzie nie wahały się nawet atakować całego ich stada, a w razie potrzeby także pastuchów.

Szkody wyrządzane przez dzikie psy po dzień dzisiejszy w bydłostanie Australji są wręcz nieobliczalne i jak zapewniają ekonomiści australijscy, tylko dzięki tym szkodnikom, ten najmłoszy kontynent nie zdołał już dawno zająć naczelnego miejsca, jako największy na świecie producent wełny owczej.

Już pierwsi osadnicy europejscy organizowali oddziały ochotników, których zadaniem było tępienie niebezpiecznych psów, a mieli oni zadanie niełatwe, zważywszy, że „Dingo" zarówno wielkością jak i drapieżnością dorównują wilkom. Obecnie werbuje się do walki z ową psią plagą bezrobotnych pracowników rolnych.

### Najbardziej ruchliwy zawód.

Angielski senat do spraw higjeny w przemyśle podnosi w swych notatnikach statystycznych, że personel, usługujący w wielkich lokalach publicznych, prowadzi życie bardzo ruchliwe. Zmierzono u kelnerek i kelnerów długość podeszwy bucika i obliczono na podstawie tego, że kelnerzy i kelnerki kręcąc się codziennie po całym zakładzie, przebywają około 20 mil angielskich. Na drugiem miejscu stoją kontrolerzy w wielkich domach handlowych, którzy nieustannie chodzą po salach zakładów, pilnując porządku przy sprzedaży. Kontrolerzy ci przemaszerowywują codziennie około 17 mil angielskich.

### Budownictwo wśród owadów.

Wśród owadów są niejednokrotnie lepsi budowniczowie, niż wśród ludzi. Mamy więc fabrykantów papieru, garncarzy, cieślów, murarzy, tkaczów, krawców, przędzalników, inkrustorów i t. p. Więcej nawet: zajmując się swemi rzemiosłami, zwierzątka te posiadają dużą przewagę nad nami w wielu wypadkach, wydzielając ze swego ciała potrzebne tworzywo, które bywa użyte albo w stanie naturalnym, albo w mieszaninie z innemi substancjami. Ta materja surowa, wydzielana przez owad, nosi w nauce nazwę „serisiny". Jest ona chemicznie podobną do substancji organicznej, zwanej „chitiną", która stanowi twardą część zewnętrzną owadu, znajdującą się w jego muskułach. Wydzielona pod postacią płynu, szybko twardniejącego na powietrzu, serisina stanowi zasadniczy składnik jedwabiu. Jednocześnie przedstawia ona doskonały cement, używany przez wiele owadów, do skonsolidowania swych oprzędów, albo połączenia różnych materjałów, wchodzących w skład ich gniazd, wreszcie dla ochrony komórek, budowanych w celu zabezpieczenia potomstwa od żarłocznych zakusów innych stworzeń.

U wszystkich owadów, bez względu na ich stan przejściowy, serisina wyrabia się w gruczołach ślinowych wewnętrznych. U pająków zaś wyrabia się w brzuchu, skąd bywa wydzielana przez otworki, umieszczone na tylnej części korpusu. Nić oprzędów pewnych ciem, szczególniej tropikalnych, jest do tego stopnia przeniknięta tą substancją kleistą, że wytwarza rodzaj masy papierowej.

Oprzędy prawie wszystkich owadów tęgopokrywych nocnych, są zawsze umieszczone wewnątrz ciał obcych. Oprzędy te stanowią rodzaj pergaminu i służą za ochronę dla poczwarki. Pod mikroskopem widać, że oprzędy składają się z nitek tak subtelnych, jak pajęczyna, zwiniętych spiralnie, i połączonych serisiną, która nadaje im wygląd lakierowany.

Ciekawszem jest jeszcze zastosowanie serisiny przez owady, które nie robią oprzędów, lecz gniazda.

Gniazda składają się z różnych materjałów, jak piasek, drobne kamyki, liście i t. d., połączonych serisiną.

Pewien gatunek osy podzwrotnikowej lepi z gliny rodzaj wazonu pękatego. Grubość jego ścianek zaledwie przekracza grubość papieru, ale dzięki powłoce, kleistej, staje się on tak wytrzymały, że opiera się skutecznie deszczom i wiatrom.

Jeszcze ciekawszy użytek ze swej materji przyrodzonej robi pająk wodny. Buduje on mianowicie domek swój w formie dzwonu podwodnego, wielkości orzecha. Dzwon ten, przypominający wyglądem naparstek, zatopiony w wodzie, otworem na dół, jest napełniony powietrzem. Cały system nici, przylepionych do łodyg okolicznych roślin, utrzymuje go na miejscu. Jest to schronisko pająka, i miejsce jego przyszłej rodziny.

Własności serisiny wprost zadziwiające, są dla nas zagadką, tak samo zresztą, jak i dokładny skład jej chemiczny. Z chwilą, gdy rozwiążemy tę zagadkę, w rękach naszych budowniczych znajdzie się cement, o takich zaletach, jakich nie mogły mu dotąd nadać ani nasze wiadomości z chemji, ani wysoki poziom nowoczesnej techniki.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Władysław Worek** w N.: W wierszykach Pańskich jest rzeczywiście dużo poezji, jest polot myśli, ale jeszcze forma nieopanowana. Warto popracować nad sobą, a może być, że potrafi Pan napisać coś zupełnie wartościowego. — **„Serce pustyni“:** Już z listu Pańskiego widać, że w głowie Pańskiej panuje olbrzymi chaos. Aby móc pisać, trzeba go przedewszystkiem opanować. Nie należy pisać długimi okresami, ale tworzyć zdania krótkie, dla każdego zrozumiałe. Po napisaniu rzecz odłożyć na jakiś czas, po kilku dniach przeczytać ją, porobić poprawki i znowu odłożyć. Czynili to i czynią nawet wielcy literaci. Mało jest takich, którzy piszą od ręki. Aby dobrze pisać, trzeba przedewszystkiem dużo czytać; czytać z uwagą i zastanawiać się nad przeczytanem, pochłanianie książek do niczego nie doprowadzi. Pisząc, należy się zastanawiać, dlaczego tak się pisze, a nie inaczej. Dlaczego np. pisze się: „Boże“, a dlaczego w „borze“. Jeżeli raz Pan zapamięta, że w słowie „Boże“ była w innej odmianie litera „g“ — Bóg, to nigdy Pan nie napisze: „Borze“, „morze“, w słowach, które w innych formach brzmią: Bóg — mogę i t. p., jak znów w borze od bór, morze — morski i t. p. nie napisze Pan przez „ż“. Gdy Pan będzie uważnie czytał, to spostrzeże Pan, że „prze“, „przez“ tylko w jednym wypadku pisze się przez „sz“, a mianowicie „pszenicę“, a zawsze kiedyindziej przez „rz“. Przedewszystkiem pisać niewiele, a zawsze z myślą o tem, dlaczego się tak pisze, a nie inaczej. — **August Wasylecki** w T.: Forma w wierszykach nieopanowana. — **Władysław Bała** w Z.: Humoreska nie estetyczna. Figa nie cukierek, ale owoc. — **Rom-Ort** w W.: Uparł się Pan i przysyła nam rękopisy, jako druki, wskutek czego musimy do przesyłki dopłacać. W wierszykach pomiędzy przebłyski ładnej formy wkradają się niedociągnienia które zupełnie psują całość. Posyłając do druku, trzeba zawsze przedtem rzecz każdą wygładzić, aby w niej nie trzeba było zmieniać ani jednej litery. — **Józef Foryś:** „Strachy“ z małemi poprawkami umieścimy. — **Jacek Orlik** w S.: Wierszyk zupełnie dobry i na czasie. — **Marja Hamerlakówna** w Cz.: List Pani przesłaliśmy p. Wencowi. Dziękujemy za zwrócenie uwagi. — **Andrzej Dej** w W.: Obydwa wierszyki bardzo miłe, więc będziemy starali się je zamieścić w jednym z najbliższych numerów, aby zbyt długo nie leżały w teczce. Że wiersze przepełniają naszą tekę, to nic dziwnego, otrzymujemy ich bowiem po kilkanaście tygodniowo, a zamieszczamy po dwa lub trzy. — **Walenty Jurczyk** w L: Artykuł dobrze napisany, ale dla „Roli“ zadługi. Nowelka bez głębszego znaczenia. — **Zw. Sg.:** Wierszyki bardzo słabe. — **Adam Kwaśny** w S.: Wierszyk b. słabiutki. Nie można rymować słów: „w grobie — w potrzebie“. — **Marja Waller** w Rz.: Owszem, odpowiedzieliśmy w Nrze 14 „Roli“. — **Brachaczek 153:** Dolar 5 maja 1920 r. kosztował 260 marek, ile dłużnik ma dać, to może Pan obliczyć.

# Zagadki do nagrody.

## 1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię szukane.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Naczynie szkl.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńsk. zdrob.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Robak.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Inwalida.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Męki.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Pszczelarz.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Zetknięcie.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko patrjoty narodowego.

## 2. Szarada.

(Ułożył Wawrzyniec Miesiączek z L.).

Jest Kaśka pierwsze drugie trzecie,
Od Maćka nad wszystko inne na świecie,
Gdy kres wędrówki na ziemi,
Pierwsze trzecie człowiek czyni.
Pierwsze czwarte trzecie ukrywa
Potęgą władzy i pieniądzem bywa.
Zagłoba czasy bardzo długie
Płakał; w bitwie stracił czwarte drugie,
Potem w Czarnomorskie jeździł okolice,
Drugiego trzeciego zobaczył stolicę
Jak całość lubię nie określę słowem,
Więc ją napisałem razem z imiesłowem.

## 3. Mały logogryf.

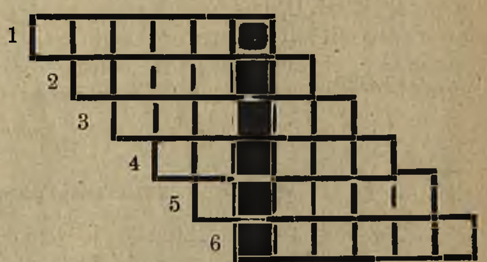
(Ułożył Warzyniec Miesiączek z L.).

■ Spółgłoska.
☆ ■ ☆ Ciecz.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Pojazd.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Inaczej ochronka.
☆ ■ ☆ Nawspak dobrze.
■ Samogłoska.

W miejsce kwadracików wstawione odpowiednie litery, czytane z góry na dół dadzą nazwę góry w Europie.

## 4. Łamigłówka.

(Ułożył Wł. Wicherek z B.).



W powyższą figurę zamieścić poziomo 6 wyrazów o poniższem znaczeniu, przyczem pionowy rząd środkowy da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) List bezimienny. 2) Owoc południowy. 3) Włócznia. 4) Publiczne zbiory naukowe. 5) Staro-francuski taniec. 6) Biuro policyjne.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 17 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 13 „Roli“: 1. Logogryf: Pańskie oko konia tuczy. 2. Konikówka: Wyspa Madera gości naszego wodza J. P. 3. Łamigłówka: Co marzec wypiecze, to kwiecień wyciecze. 4. Kwadrat magiczny: Żar-ara-rad.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali pp. Leopold Wołek z Rz., Stefan Jaworski z P., Józef Cieplik z K., Władysław Gąsienica z Z., Józef Burda z Ł., A. Dudek z N., Stefan Ożóg z O., Stefan Dudek z N.

Nagrody wylosowali pp.: Władysław Gąsienica z Z. i Stefan Jaworski z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

### Lubi czy kocha?

Misjonarz do dzikich: — Czy umiecie kochać bliźniego?

Murzyn odpowiada, oblizując się: — Oh, bez wątpienia, ale na gorąco i w smacznym sosie.



Pan de Chateauneuf, jako dziesięcioletni chłopak, został przedstawiony jakiemuś biskupowi, który, rozmawiając z nim, dobrotliwie zapytał:

— Powiedz mi, mój mały przyjacielu, gdzie jest Pan Bóg, to ci dam pomarańczę.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie go niema, to ja dam Waszej Ekscelencji dwie pomarańcze — odrzekł chłopczyna.



### Ma słuszność.

Pomiędzy koniem a osłem idzie spór o to, kto lepszy — przyczem koń chlubi się swoim szlachetnym rodem.

— E — odpowiad mu osioł — na nic twoja pycha; was, konie, niedługo zniszczą samochody, ale osłów zawsze zostanie dość na świecie.

### Giełda płodów rolniczych

z dnia 3 kwietnia b. r.

| | | | |
|---|---|---|---|
| Pszenica | 30·50—31·00 | Słoma długa | 5·00—6·00 |
| Żyto . | 22·50—23·00 | Ziemniaki stoł. | 0·00—0·00 |
| Owies . . | 26·00—27·50 | Koniczyna nasienn. czer. | 290·00—310·00 |
| Jęczmień . | 24·50—26·00 | | |
| Fasola biała | 38·00—42·00 | Mąka żytnia | 36·50—37·00 |
| Groch zwyk. | 00·00—00·00 | Mąka pszen. | 54·00—55·00 |
| Siano słodk. | 13·00—14·00 | Otręby pszen. | 18·00—18·50 |
| Łubin żółty | 39·00—40·00 | Otręby żytnie | 18·00—18·50 |
| Koniczpastew. | 16·00—18·00 | Mąka czerw. | 20·00—21·00 |

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

### Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 3 kwietnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Buhaje . | od 0·59 do 1·20 zł. | Jałownik | od 0·77 do 1·18 zł. |
| Woły . . | od 0·83 do 1·22 zł. | Cielęta . | od 0·73 do 1·50 zł. |
| Krowy . | od 0·50 do 1·10 zł. | Kozy i barany | 0·00 do 0·00 zł. |
| Nierogacizne | 1·[illegible]0 do 1·45 zł. | Nierogaciznę bitej wagi | od 1·50 do 1.95 |



Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

**„Zemsta cygana"**

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzyczn.

Numera początkowe posiadamy w zapasie. Można zamawiać w sklepach, w których Czytelnicy „Rolę" kupują lub w Administracji „Roli" nadsyłając w liście znaczki pocztowe po 30 gr. za numer.

# Tani miesiąc

na roczniki „Roli" w cenie po zł. 6·80 za jeden egzemplarz przedłużamy do 15 kwietnia b. r.